



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1

sgr. 20.

Kartka z pamiętników poety.

II.

Rok milczenia.

„Przed Tobą
czenie

Cicho było bardzo dokoła; byłem fizyczną pra-
cą zmęczony: więc zapominając o całym świecie —
myślałem. Dusza moja została na chwilę sama
ze sobą. Dusza ma zupełnie strukturę kościoła.
Stanowcze, granitowo-niewzruszalne podstawy
zasad unoszą nad sobą lekkie ściany myśli, któ-
re, rozsuwając się miejscami, wpuszczają w tę
wewnętrzzną świątynię pogodne pasy błękitu. Na
ścianach myśli rozwieszono obrazy

Już sobie nawet nie zadawałem pytania: co to
jest? Przecież ja wiem, czego szukam. Wiem od-
dawna. Poezja uleciała z duszy
stoi opustoszały. Duszy
świątyni duchowej
pełniące się
hieroglify po
coś z cier

Stycze

Powró
cy do
ogni
cz

od niosącego ją powietrza, opadł ku ziemi nie dbale, jakby mimowoli, od niechcenia. Usiadłem na zrębie lasu. Nade mną stał hufiec stuletnich dębów, w kryształowych hełmach z lodu, z zastygniętym sercem pod chłodną łuską szronu. Marzenie wiosny zamarło w nich, i stali jak legendowi rycerze, jeden za drugim, a każdy cichy, zimny, dumny, rozmyślający o przeszłości. Słyszałem ich szelest nad głową i czułem, że w nim wieje podobna mojej tęsknota. U stóp wzgórza wiał się strumień; zima narzuciła mu kajdany milczenia i bez szmeru szedł z rezygnacją naprzód; a ja, patrząc w ujarzmione fale jego, czułem w głębi duszy tęsame, co on, wiezy.

Zdjąłem kapelusz i pochyliłem głowę pod ciemnościami nocy. Śnieg osypywał mi ubranie i włosy, czoło ochłoneło, tam, na drodze zniknęły pod zawieją ślady żyjących istot i znalazłem się sam, w obliczu i pod działaniem milczenia zimy. Było mi dobrze. Dusza moja w tym chłodnym kraju doznawała ulgi, choć czuła się, jakby zamkniętą w białej lodowej urnie; dokoła mnie był śnieg, a gęsta jego chmura, spuszczała się z góry, czyniła mi wrażenie pochylającego się nademną wieka sarkofagu. O, jak cicho i spokojnie spać muszą w grobach swoich ci, co wypełnili całe zadanie życia!

Dobrze mi było w tej białej urnie zimowego spokoju, ale czułem, że to nie nadługo. Spoczynek taki nie mógł być jeszcze moim udziałem. Wśród otaczającego mnie śmiertelnego prawie milczenia czułem bicie mego serca, którego zima mroźną ręką dotknąć i uspić nie była zdolną. Czułem mieszkającą we mnie wiosnę i jakąś zwycięską siłę życia, która wyrwała się na zewnątrz, uderzała o wszystkie struny duszy, a nie mogąc przemóc milczenia tej, na której niegdyś wylatywała natchnieniem, cofała się w smutku napowrót do tajemniczych głębin ducha. Patrzyłem oddawna w siebie samego, śledziłem wszystkie poruszenia woli, fantazy i uczucia; stałem się sam sobie surowym, okrutnym, prawie tyrańskim sędzią, chcąc wydobyć z siebie prawdę — nie! nie zbadać nie mogłem, to tylko czułem, że cierpię. Cierpienie stało się teraz moją prawdą. Powiedziałem sobie, że trzeba być przede wszystkim — człowiekiem i poezji szukać i czynić ją — w życiu. Jakiś czas szedłem ciężką drogą, bez skargi, pracowałem, rozmyślałem, myślałem ściśle i sumiennie obojętnie, składało codzienne zajęcie, marzeń moich dawało dzień, wysilając światła istoty, czyć się smu-

bym się karze, aby tylko odzyskać dawną wolność. Ach! co za szczęście na skrzydłach poezji unosić się ponad pyły i zmierny tej ziemi!

Tymczasem śnieg zasypał mnie zupełnie i wyglądać musiałem jak widmo białe: czułem jednak, że pod tym śniegiem, co mi leżało na czole, kwitły myśli moje, jak pierwiosnki dążące do słońca, do światła. Czułem to, co przechodzić musi perła zamknięta w muszli ciasnym więzieniu: tęsknotę do dnia, do wydostania się na wolność, do bycia sobą, do rzeczywistości swego przeznaczenia. Ona na dnie cichego oceanu, ja w głębokościach niespokojnych rozmyślań!

O, myśli! ty jesteś szczęściem i klęską, jesteś rozkoszą i umartwieniem, umiesz być aniołem i szatanem. Niema cięższego cierpienia nad cierpienie myśli, daleko nieraz dotkliwsze od bólów uczucie, bo uczucie jest prostsze i spokojniej cierpi, a myśl — drażni i szarpie i kłóci się z człowiekiem, jest wymyślna w zadawaniu męczarni i wewnętrzna tortura porywa ducha w swą nieubłaganą władzę. Jeśli unosi do góry, duch buja rozradowany w najczystszej okolicy wolności, jeśli zamknie się w sobie, niema na świecie ciśniejszego więzienia: tajemnice ducha.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzi na kwestyionaryusz rodzinny.

(Dalszy ciąg).

List III-ci z Kujaw (polskich) List IV-ty z ulicy Mazowieckiej schodzą się ze sobą, wskazując jedno ze źródeł złego, które co prędzej zatamować należy, aby reszta zasobności możniejszych rodzin ziemiańskich nie zmarniała. Podróże za granicę, corok w znaczniejszej liczbie odbywane w porze letniej; przybywanie do Warszawy w czasie wystaw czerwcowych; przepędzanie zimy w Warszawie, prawie nieznanie dawniej w rodzinach, które nie liczyły fortun na miliony: to jedna z wielu przyczyn, które nas ruinują. Dawniej z wyjątkiem rodzin magnackich zjeżdżających do pałaców swoich w Warszawie lub w Krakowie, takie wycieczki w klassach średnio zamożnych, były prawie nieznanie i liczyły się do wyjątków. W celach edukacyjnych mieszkali niekiedy matki z dziećmi w miastach, ale zwykle naczelnik rodziny, ojciec, zostawał na wsi, i steru gospodarstwa z rąk nie przejął. Uważano to za ofiarę, ze strony

dzieciennych, a wzmacniających się z każdym rokiem życia pędzonego wśród jednakowych warunków bytu, jednakowych nawyknień i powstających zamiłowań. Sąsiedzi są to już wtedy tylko znajomi mniej więcej bliższy, lub dalecy, a wykwiłtność, z miasta przyniesiona, czyni tu nawet przez formy zewnętrzne podział coraz wybitniejszy na więcej zamożnych, wytwornych, z jednej strony, a więcej zadomowionych, zapracowanych, z drugiej.

Pęka też jedna bardzo w życiu ziemian szacowna nić, która skupiała i wiązała nietylko serca ludzkie. Była pewna solidarność okolicy, pewne obywatelskie oparcie się jednych o drugich. Zamożniejsi, nietylko ratowali nieraz groszem mniej zamożnych, ale z natury rzeczy, bo z natury środków posiadanych, oświeceni, z szerszym na świat i jego sprawy poglądem, którym przypadało w wielu razach kierownictwo, którzy w chwili jakiegoś zatargu sąsiedzkiego mogli najwłaściwiej stawać jako arbitry, którzy w każdej sprawie ogólniejszego znaczenia występowali naprzód jako reprezentanci — usuwają się z tego stanowiska przez usuwanie się z życia swojej okolicy, dla której zarazem przestają istnieć jako punkt grupowania się interesów ogólnych, a nawet i życia towarzyskiego. Usuwają się jako naczelnictwo, jako wpływ.

Ale nie... wpływ pewien pozostaje. Przez powracające te ptaki letnie rozpowszechnia się w rodzinnych ich stronach miejski szyk, przyjęty w pewnych kołach warszawskich — w kołach próżnujących, pasożytnych, niezwiązanych z miastem właściwą mu pracą, a tylko wiodących tu luzne istnienie bez celu. Ten wpływ działa, modyfikuje obyczaje, odejmuje im miejscowy, właściwy, z potrzebami wiejskiego życia ściśle związany charakter, kosmopolityzując i odcinając od warunków istnienia na tym, a nie innym, kawałku ziemi. To, na co podnosiła się skarga w *Lisicie z Płockiego*: to, że dziś nie można już w dworach wiejskich przyjąć gością przetworami domowej spiżarni, że już dziś nie uchodzi dawny, staroświecki nazwany, skromny tryb życia, że rodziny ziemian coraz mniej obywają się zapasami własnej produkcji, a coraz więcej kupują za grosz gotowy — wszystko to w znacznej, w przeważnej części spada na karb owych przesiedlonych na bruk miejski rodzin zamożnych, które przez swoje położenie towarzyskie nadają życiu okolicy, do której na parę letnich miesięcy zjeżdżają, ton bardzo smutny, bo ton podkopujący, rozkładający.

A stosunek zerwany dworu ze wsią? a wieś, moralnej opieki, moralnego kierunku dworu pozabawiona? Moznaby o tem całe tomy pisać i daj Boże, aby je ktoś napisał.

Czy z drugiej, ekonomiczno-finansowej strony, gospodarowanie przez zastępcę przedstawia te same skutki, co osobiste prowadzenie gospodarstwa właściciela dóbr? W tej kategorii ludzi zupełnie już za-
padają i tacy? Czy
uczucie się na re-
słowie twierdzi,
— nie spowo-
ielkich, ma-
ze to za-
jaknaj-
powie-
wyżej
ze
o-

Kosztowne wyjazdy do Warszawy na wystawę doroczną należą do rzeczy, które w dzisiejszych czasach zaliczać trzeba do zbyt kosztownych. List z Ulicy Mazowieckiej wymienia różne tego zbytku pozycje, różne straty, jakie się z temi wyjazdami łączą, szczególnie dla ludzi, którzy zupełnie mającymi nie są. Muszą oni potem ujmować sobie w domu na rzeczy najpotrzebniejsze, jeżeli zapelnąć chcą w budżecie lukę, którą ta przyjemność wytworzyła.

Kosztowniejsze, silniej podkopujące, bo zwolna w obyczaje nasze wchodzące, są podróże zagraniczne, wycieczki na wystawy, a nawet kuracyjne wyjazdy do wód, do kąpiel. Tylko prawdziwie już i poważnie chorzy ludzie mogą bez grzechu ubożenia się dobrowolnego takie kuracje prowadzić. Autor listu z Ulicy Mazowieckiej zarówno wzniosłe zapatrujący się na obowiązki człowieka, jako ojca rodziny i obywatela kraju, zakończy łacińską maksymą, że nie należy nam tracić dla życia tego, co życiu daje walor i cenę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił Quis.

(Dalszy ciąg).

Pani Hieronimowa ocknęła się z marzeń swoich i rzuciła znaczące spojrzenie na męża, który w tej samej chwili podniósł za nią oczy, jakby chciał niemi powiedzieć do żony:

— Uważaj!

Piosnka dźwięczała spokojna, rozteskniona, jak marzenie, wśród szmeru cichych arfowych akkordów i około jednego tematu krążyła uparcie, niby kręgi fal na stawie, które spadły listek z wędnącego drzewa u brzegu wytwarza.

Pani Hieronimowa podniosła się bez szelestu z siedzenia i wyszła z werendy, z palcem na ustach, nakazując nam milczenie; podeszła pod otwarte okno, przez które dolatywały dźwięki fortepianu i dała znak mężowi, aby się zbliżył.

Przy fortepianie siedziała panna Tynia i grała zatopiona w jakiejś smutnej zadumie, z lekka kołysząc głową, jak ci, co się skarżą lub żalą.

Uważałem, że Żaliwski westchnął i szepnął coś na ucho żonie, która powstrzymała go znowu gestem i na palcach cichutko weszła do salonu, aby ukradkiem niepostrzeżona zbliżyć się do grającej dziewczyny. Potem zlekka nachyliła się nad nią, i ujawniwszy główkę dziewczęcia swemi rękoma, pocałowała ją czule.

Piosnka urwała się nagle, paluszki odskoczyły od klawiszów i, w jednej chwili, przydybana tak zniemacka, panienska zasłoniła sobie oczy, namiętnie całując ręce macochy i ukrywając twarz na jej łonie.

Obie kobiety trzymały się w uścisku przez długą chwilę, potem młodsza z łkaniem wyrwała się z objęć starszej i wybiegła z pokoju.

Żaliwski strzepnął popiół z cygara gwałtownym ruchem i zwracając się do mnie, jako do świadka całej sceny, rzekł:

— Z temi dziewczętami to bieda!...

Zdawał się namyślać przez chwilę, potem dla zatarcia wrażenia dodał swobodniejszym tonem:

— Nie każ pan córki uczyć muzyki, jeśli będziesz miał córkę, bo to denerwuje tylko kobiety. Kosztuje wiele, a pożytku z tego mało.

— Co to za taka smutna piosenka?—spytałem panią Hieronimową, wracającą do nas z salonu.

— Która?...

— A ta, którą panna Tynia grała przed chwilą?

— Jakto, nie znasz jej pan? — wtrącił Żaliwski—przecież to moja córeczka nauczyła się jej od pańskiego przyjaciela. Dawniej wygrywał ją całemi wieczorami na swojej drumli... dziewczyna ma dobry słuch.

— I czule serce — dorzuciła prawie niedosłyszonym szeptem pani Żaliwska, wdychając, jakby chciała tem powiedzieć: „ot! nieszczęście!...”

Scena ta, na pozór mało znacząca, zwarzyła nam dalszą rozmowę.

Nie kleiło się jakoś; wszyscyśmy dobrze rozumieli, co taka piosnka grywana przez siedemnastoletnią dziewczynę, co taka zaduma, taki wybuch łez i uczucia—znaczy, ale trudno nam było mówić o tem. Zarówno mnie, jak i rodzicom Tyni nie było tajnym, że się w paniencie serduszko zbudziło...

Kiedy wróciłem do domu, miałem już powzięte postanowienie rozmówić się poważnie z Jankiem. Przed nim nie było czego ukrywać.

Zastałem mojego dziwaka leżącego na sofie w ciemnym pokoju i udającego, że drzemie.

— Przez ciebie wyspać się nawet nie mogę — rzekł mi na powitanie opryskliwie — myślałem, żeś się już przeprowadził całkiem do pałacu i że tam przenocujesz.

— Słuchaj-no—przerwałem mu, siadając obok niego na sofie i kładąc mu rękę na ramieniu.

— Można z tobą pomówić raz rozsądnie?

— Można.

— Więc zbierz wszystkie zmysły i uważaj.

— Ho, ho!... coś z wysokiego tonu zaczynasz. No, mów.

— Powiem ci coś, co każdego innego mogłoby uszczęśliwić—zacząłem—ale z tobą, to nie łatwo do ładu trafić.

— Ha, trudno!... o cóż idzie? palnij prosto z mostu, bo wiesz, że nie lubię długich wstępów.

— Tem lepiej; otóż mam zaszczyt oznajmić panu, że rozkochałeś, bratku, pannę Żaliwską nie na żarty.

— Ja!—wrzasnął na całe gardło i zerwał się, jak na sprężynie.

— Tylko spokojnie, bez hałasu. Nie masz się czego rzucać i krzyczeć. Sprawa jest poważna, i trzeba ją poważnie traktować.

— Zwaryowałeś!...

— Nie zwaryowałem wcale; to, co ci mówię, jest prawdą. Dziewczyna jest w tobie zakochaną, stało się — jestto pewnie jej pierwsza miłość w życiu, tego lekceważyć uczciwemu mężczyźnie nie wolno. Nie będę ci szeroko i długo tej rzeczy tłumaczył, ale możesz mi wierzyć, że mówię poważnie i że mam na to pewne dane. Szczęście ci się samo naprasza; panna tobą zajęta, rodzice przyjmą cię z otwartymi rękoma; dziewczyna dobra, ładna, bogata, wykształcona: — czegoż chcesz więcej!... Podziękuj Bogu, że ci takie szczęście darowuje.

Zerwał się z sof, pochwyił mnie za rękę i spytał:

— Słuchaj, ty mnie nie zwodzisz, ani nie próbujesz?

— Czyś oszalał!... za kogóż mnie masz?...

— Ty mówisz prawdę, nie mylisz się?...

— O to bądź spokojnym.

Załamał ręce, głowę zwiesił na piersi i myślał.

— To nieszczęście!—rzekł po chwili.

— Nieszczęście?... dlaczego?

— Bo ja jej nie kocham.

— To pokochasz.

— Nie, mój drogi; ja żadnej kochać nie będę, nie mogę, nie potrafię. Niech mi dadzą pokój — pokoju mi tylko potrzeba w życiu, niczego więcej. Co za szaleństwo kochać się we mnie, w dziwaku, w człowieku chorym, rozdrażnionym, rozbitym fizycznie i moralnie!...

— Mój kochany — przerwałem mu—serca nie można na rozum przekładać. Wytłumacz-że sobie, że dziwaczysz, że zbrodnię niemal popełniasz, odrzucając taką miłość. Co tobie jest, człowieku?... Sam sobie życie zatruwasz, własne szczęście niszcysz.

— Sam!... ha!...

Skoczył, jakby go zmija w samo sercu ukąsiła, wzburzony był, oddychał szybko, gorączkowo, powtarzał tylko: „nie!.. nie!...” jakby własnym myśлом gwałtownie odpowiadał.

Zacząłem mu przedstawiać, jak źle robi, że tak uparcie zapiera się najszlachetniejszej strony natury ludzkiej, mówiłem o pannie Tyni, o miłości, o szczęściu, o małżeństwie, o celu w życiu każdego mężczyzny, próbowałem go wzruszyć, rozgrzać, rozbudzić.

Słuchał z zaciśniętymi ustami, z okiem w ziemię spuszczone, jakby zakamieniały; raz tylko ręką oczy przysłonił i jęknął cicho:

— Boże, Boże! po co ci słabych ludzi tak doświadczać!

Potem nagle powstał i przerywając mi w największym ferworze, rzekł głosem zimnym, jak stał:

— Dość tego... późno już, idź spać. Już ja tę sprawę sam załatwię.

Podał mi rękę i niemal siłą wypchnął mnie z pokoju, drzwi na klucz zamknął i w ten sposób zakończył naszą rozmowę.

Na drugi dzień rano, dobrze już słonko świeciło, kiedy się obudziłem. Paweł z pochmurną jakąś i zakłopotaną miną przyszedł do mego łóżka.

— Pan już wstał?—zapytałem starego sługę.

— Pan już od dwóch godzin, jak wyjechał.

— Do lasu?

— Ale gdzie tam, do stacyi, na kolej.

— Co?—skoczyłem na równe nogi z posłania.

— Ot! coś go znowu ugryzło—odparł, machając ręką—jest tu list do pana.

— Dawaj-że!

W liście stały tylko te słowa nakreślone na świstku papieru:

„Przeprós Żaliwskich—wyjeżdżam, bo tak być musi. Rachunki i plany są w biurku. Rzeczy każ Pawłowi spakować i zabierz ze sobą. Nie wrócę już tu więcej. Znajdź, jaki chcesz, powód mego nagłego wyjazdu. Bądź zdrow!”

— Waryat, waryat, waryat! — krzyknąłem z oburzeniem.

V.

Nie jest to przyjemne zadanie, naprawiać cudze szaleństwa, zwłaszcza w takich warunkach.

Przyznaję, że miałem przedewszystkiem ochotę spakować moje manatki i wynieść się chyłkiem, bez pożegnania i tłumaczenia z Konopnicy, a staremu Pawłowi zostawić missyą, jaką mnie kochany Janek narzucił.

Niech sobie kto chce łamie głowę nad dziwactwem dwóch zagadkowych waryatów, którzy znikają, jak kamfora w najniestosowniejszej po temu chwili.

W pałacu dowiedziano się beze mnie o nagłym wyjeździe Janka i właśnie kiedy zły, jak dyabeł, siedziałem w kawalerskim negliżu przy oknie, którem wyskakiwał zwykle mój dziki przyjaciel, zjawił się nagle sam Żaliwski.

— Co to, pan inżynier wyjechał?—zapytał ode drzwi.

Nie można było bardziej zniemacka napaść na kogo; nie miałem jeszcze wyobrażenia, co powiedzieć, jak skłamać, w jaki sposób prawdy nie mówiąc, do której nie byłem upoważniony, obronić szaleńca.

— A tak wyjechał—odrzekłem—wyjechał rano o samym świcie.

— Cóż tak pilnego?

— Miał ważny powód.

— Kiedyż wróci?

— Kiedy wróci?... nie wiadomo, może nie przedko... właśnie mi tu polecił... zaraz... gdzież te kluczyki?... w biurku mają być plany, rachunki... na wypadek gdyby już sam nie mógł służyć.

Język mi się płątał.

— Jak-to, przypuszczasz pan, że opuścił nas zupełnie?

Chwila stosowna nadeszła; nie było-co dłużej zwlekać i przedłużać kłopotliwej sytuacji.

— Tak jest — rzekłem — wyjechał i kazał mi przeprosić pana, że w taki sposób opuszcza swoje obowiązki. Ważne powody osobiste... moralnej natury, zmusiły go do tego kroku i proszę pana bardzo, nie nalegać, abym je musiał wyjaśniać.

Żaliwski spojrział mi w oczy badawczo, z wielkiem zdziwieniem.

— Czyżby panu Janowi źle tu było?

— Ach, jemu nigdzie dobrze nie będzie — odparłem — w ostatnich czasach był bardziej jeszcze rozdrażniony. Dziwak, jak go państwo mogliście poznać; człowiek chory, zdenerwowany, nie odpowiadający za siebie...

— Tak... to jednak coś więcej, niż dziwactwo.

Zamyślił się, szukając widocznie powodów tego nagłego zniknięcia Janka; ja tymczasem przyszuzykiwałem szufladę jego biurka i wydobywałem papiery, uporządkowane systematycznie.

Pomiary były prawie ukończone, więc pod względem spełnienia swych zobowiązań nie mógł go spotkać żaden zarzut; tem dziwniejszym i bardziej zagadkowym zdawał się jego wyjazd.

Żaliwski przerzucił plany bez wielkiego zajęcia, spojrział na podsumowane rachunki i wykazy, przeszedł się po pokoju, wreszcie zbliżył się do mnie i podając mi rękę, rzekł:

— Pan musisz wiedzieć, co było powodem wyjazdu pańskiego przyjaciela — nie ukrywaj, jeśli to możliwe. Zależy mi na tem — muszę przecież powiedzieć coś moim kobietom.

— Ach, to właśnie... — wyrwało mi się niepotrzebnie z ust, i chociaż w tejsamej chwili chrząkałem i kaszlełem chciałem pokryć głupstwo, jakie palnąłem nieostroźnie, już było zapóźno.

Żaliwski zrobił duże oczy, potem nagle, jakby mu w głowie rozświtało, zmarszczył czoło, przygryzł wargi i szepnął tylko:

— Ach, tak? — i widocznie zrozumiał, że cała sprawa stała się bardziej interessującą, ale i bardziej drażliwą do dalszej dyskusji między nami.

Spostrzegł, że chodziło prawdopodobnie o Tynię, ale musiał zauważyć i to, iż nie miałem wcale ochoty rozwodzić się w tej materii.

— Hm, hm! — pomrukiwał, kręcąc w palcach papierosa, wreszcie odezwał się:

— Ależ pan przecie zostaniesz jeszcze naszym gościem czas jakiś?

— Byłoby mi bardzo przyjemnie — odrzekłem wymijająco — ale i tak przedłużyłem mój pobyt, i właśnie dziś lub jutro miałem zamiar wyjechać.

— I pan także! — zawołał z udanym śmiechem, a toż dżuma w Konopnicy, czy co?... Nie, pana przynajmniej nie puścimy. Zostaniesz na zakładnika, bo ja sądzę, że naszego dezertera ściągniemy jeszcze.

— Wątpię — wtrąciłem.

— Wątpisz pan, nawet gdy go pięknie poproszę ja, i moja żona... i moja Tynia?

Na tę ostatnią położył widocznie umyślny nacisk i patrzył we mnie badawczo.

Trzeba było w tej chwili powiedzieć mu wprost i otwarcie, że to właśnie przez nią i dla niej Janek uciekł, jak zbieg; ale zarazem wytłómaczyć: co go wypędziło, co go spłoszyło od oczu i serca młodej dziewczyny; trzeba było wyznać tę najtrudniejszą do wyznania prawdę, iż jej nie kochał, jej miłości nie podzielał, jej uczucie odrzucał.

A dlaczego?... Bóg jeden wiedział, bo mnie nawet domyślić się było trudno.

Zresztą, choćby i znalazły się wszelkie najbardziej przekonujące powody, żaden z nich nie byłby dostatecznym argumentem dla dziewczęcego serca, a każdy tylko nową drzazgą, nowym cierniem wbiłby się w biedną, dziewczęcą, zakochaną duszyczkę panny Tyni.

Jakże mi żal było tej biedaczki!

Dla tego samego chciałem jaknajbardziej przyspieszyć mój wyjazd z Konopnicy. No, i postawiłem jakoś na swoim.

Z Żaliwskimi do końca chodziłem, jak na szczu-

dłach, wymijając wszystkie pytania, krępowane na szczęście z ich strony wytłómaczoną zupełnie drażliwością względem człowieka, obcego bądź-cobądź.

O Janku wyrobiliśmy sobie opinią: że dziwak, że chory, że mu coś do głowy strzeliło, że powinien się sam usprawiedliwić i, że to zapewne prędzej lub później uczyni.

Panna Tynia była bladą, jak lilia przy księżycu, oczki jej tylko powiększyły się, usteczka drżały i widać było, jak całą siłą wstrzymywała płacz, który tam w głębi dziewczęcej piersi wrzał i kotłował ujarzmiony.

Nie śmiała wybuchnąć przy rodzicach i przy mnie, nie śmiała pytać o nic; bała się odezwać, bo głos jej odmawiał posługi — dopiero kiedyśmy na chwilę znaleźli się sami w salonie: zbliżyła się do mnie nieśmiała, jak dziecko, jakaś dziwnie pokorna i drżąca, i spuszczać oczy, spytała:

— Proszę pana, czy odjeżdżając, nie kazał... nam nic powiedzieć?...

— Nic — musiałem odrzec, choć to słówko niewinne dławiło mnie w gardle.

— A nie zostawił nic na pożegnanie?

— Nic.

— Niech jedzie z Bogiem — szepnęła, polykając łzy, które jej dłużej mówić nie pozwoliły.

To nic, było wszystkiem, co główkę i serce zakochanego dziewczęcia odtąd wypełniać miało w мечzarni domysłów: „dla czego on wyjechał?...”

Przyrzekłem sobie uroczyście, że pana Jana za uszy wytargam bez wszelkiej ceremonii przy najbliższym spotkaniu, a takie *verba veritatis* miał usłyszeć odemnie, jakich mu w życiu nikt nigdy nie powiedział.

Niech mi się tylko zjawi!...

Pawła z resztą pozostałych rzeczy zabrałem do siebie i zaczęliśmy szukać zbiega, który swoim zwyczajem przepadł bez wieści.

Ale Janek się nie zjawiał; dzień za dniem upływał, a o nim słyhu nie było.

Z Konopnicy odebrałem list od Żaliwskiego, niby w interessie, a głównie z zapytaniem: czy o panu Kileckim wiadomości jakiej nie miałem? zapowiadano mi przyjazd całej rodziny na zimę do miasta, bo zdrowie Tyni i pani Hieronimowej wymagało podobno tego.

Odpisałem, że nic nie wiem i wiatru w polu dogonić nie mogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Lipcu 1885 r.

Martwa pora. — Wystawa Węgierska. — Baumbacha. *Woda młodości*. — Arcyksiążę Rudolf jako literat.

? Może nie zechcecie uwierzyć, że z Wiednia niema o czem pisać. Zwykle bywa tak w lecie; jednak w inne lata starano się o to, żeby przecież skazani na pobyt w kamiennej pustyni mieli się czem zająć, oraz, żeby goście mieli ochotę przybyć i zostać. Wymyślano i urządzono widowiska, rozrywki, wystawy; a tego roku nic, zgola nic. Wyciągi w Praterze, niby-regaty na kanale dunajowym są już chlebem powszednim, zresztą trwają chwilę tylko. Teatra wszystkie zamknięte, prócz jednego ogródkowego; słynni niegdys „Volks-saengerzy“ typowi śpiewacy, deklamatorowie wyginęli; dzisiejsi są nudni i niesmaczni, nawet dla Wiedeńczyków. Pozostają wycieczki w okolice; ale te są możliwe tylko w dniu powszednim, kiedy nikt nie ma czasu, a trzeba najmniej trzech godzin na najbliższą. W święta niema sposobu dostać się nigdzie, braknie środków komunikacyjnych; tłumy, ścisk, kurz, a do tego upał. W wielkiej rotundzie Prateru pozwolono urządzić cyrk. Jest on lichy, ale mu to mało szkodzi; rotunda bowiem tak jest olbrzymią, że naj-

bliższa areny publiczność mało co widzi, a dalsza chyba się domysła tylko. Mimo to na każde przedstawienie przybywa 3 do 5 tysięcy ludzi. Cóż ma robić z rozpaczy ten lud tak żądny widowisk, któremu nawet balonu tego roku nie puszczone? W okolicy, o milę odległości, urządzono w parku po dawnym bankierze Sina nowy zakład rozrywkowy: więc piwo, muzyka, kilka łodzi, popis na linie i ognie sztuczne. Udają się tam tysiące, wśród trudów i znoju, orzeźwiają się i krzepią w parku i wracają znowu wśród trudów i znoju do rozpalonych murów. Dodajmy do tego, że nawet stałe wystawy i muzea cesarskie zamknięte, bo się przenoszą do nowych pałaców; parlament na feryach i ktokolwiek „się sam szanuje“ wyjechał na świeże powietrze, to jest do „Vorortów“ biedować w lokalach ciasnych a drogich; a do obrazu mizeryi martwej pory nie trzeba już nic dodawać, chyba jeszcze to, że zpowodu zaprowadzonego święcenia niedzieli, w poniedziałek niema gazet, więc nie można, nawet po przebyciu skwarne go dnia wytchnienia, dowiedzieć się, co też nowego słyhać na tym rozkoszonym świecie, i jak się też innym powodzi?

A są ludzie i miejsca, którym mimo upałów dobrze się wiedzie. Mogłoby się nawet zdawać, że Wiedeń, jakby umyślnie, zasnął i odstąpił od siebie, żeby tylko cały świat za to zwrócić do Pesztu, gdzie Węgrzy z wielką pompą urządzili sobie wystawę krajową. Pojechałem tam i nie żałowałem. Jest co oglądać, można się zabawić, przypatrzyć życiu ludu szczęśliwego, nasłuchać Cyganów. Można opowiadać wiele o tej wystawie, nie dlatego, że to wystawa, ale że przez nią i za pomocą niej cały ten węgierski globus, jak mówią zazdrośni, wszechstronnie, a małowniczo zwiedzającemu się odsłania. Sądzę jednakże, iż na teraz mieliście dosyć zajęcia z warszawską wystawą, że zaś węgierska trwać będzie aż do Października, więc poczekam ze sprawozdaniem, aż się już zupełnie i wy z własnym popisem swoim obliczycie. Dzisiaj dam już pokój kronice „martwej pory“, a wolę natomiast przynieść wam coś żywego, młodego: ustęp z niemieckiej książki. Pierwszy raz może się to w moich sprawozdaniach zdarza. Sądzę, że czytelnik będzie z tej zamiany zadowolonym.

Bardzo poczytnym pisarzem, humorystą w wyższym znaczeniu, prozą i wierszem, jest obecnie Rudolf Baumbach. Ogłosił on już wiele książek jak: „Pieśni włóczęgi“, „Złotoróg, słowańskie podanie z Alp“, „Hornud i Hilda“, „Powiastki i bajki“ i t. t. Podaję tu jedną z tych powiastek, która może wśród upałów być pożądaną, jak rosa, bo też nazywa się *Woda młodości*.

Było to w dniu przesilenia słonecznego. Na zbożach leżał żar południa. Zaledwo niekiedy poruszył niemi świeży wietrzyk z lasku w poblizkiej górze, poczem kłosa pochylały się w dół, a z maków opadały na ziemię czerwone listki. Świerszcze i koniki polne nie przestawały jednak grać, a z lasu odzywała się niekiedy kukulka.

Ścieżką wśród żyta, z doliny pod górę, szła sobie smukła, silna chłopka. Bufiasty, szeroki miał ubiór, a na głowie od słońca czerwona chustkę, na lewym ramieniu zawieszony kosz, w prawej ręce dzban. Gdy ją ujrzał dzieciół siedzący na buku, wyleciał na najwyższą gałąź i witał: „Dziewczyno, dziewczyno, oj kwiecie!“ Ale ptak mylił się. Jasna Greta nie była dziewczyną, ale młodą niewiastą, a szła do męża, który tam w boru drwa rąbał. Gdy doszła na skraj lasu, przystanąła, nasłuchując. Dobięły ją wnet odgłosy uderzeń siekiery; wiedziała dokąd się zwrócić. Niedługo trwało, a ujrzała męża, który podrąbywał potężną sosnę; wesoło nań zawołała.

— Stój w miejscu — krzyknął nagle — drzewo zaraz padnie.

I w tej chwili sosna westchnęła głęboko, pochylała się i jęcząc runęła. Teraz Greta podeszła bliżej; opalony drwał objął obu rękami swoją młodą niewiastkę i ucałował serdecznie. Potem siedli na pniu i wyjmowali z kosza przyniesioną żywność. W tem drwał odłożył chleb na bok, ujął za siekiere i rzekł:

— Zapomniałem o jednej rzeczy.

Wstał, podszedł do sosny i wyrąbał na niej trzy krzyże.

— Na co to, Janie? — spytała kobieta.

— To dla leśnic, — objaśnił Jan. — Małeńkie leśnice mają srogiego wroga, dzikiego strzelca. Dzień i noc je przesładuje i szczuje psami. Jeśli się jednak uda takiej biedaczce schronić na pień krzyżami naznaczony, to już dziki strzelec nie przeciw niej nie może; krzyże ją bronią.

Niewiasta zrobiła wielkie oczy.

— Spotkałeś już kiedy taką leśnicę? — spytała ciekawie.

— Nie; one się bardzo rzadko pokazują. Ale dzisiaj jest przesilenie dnia z nocą, to będzie można je widzieć. I nagle donośnym głosem krzyknął w głąb boru:

— Leśniczko, pokaż się!

Uczynił on to tylko na żart, dla zabawienia swojej kobiety. Ale w Dzień Świętojański nie można w lesie z takimi rzeczami żartować. Naraz stanęła przed nimi istotka na łokieć wysoka, wdzięcznej postaci i dziwnie piękna z oblicza. Odziana była w długą, białą szatę, a w złotych włosach miała zatknietą gałązkę paproci i kwiat jakiś nieznan.

Jan i Greta srodze się przelekli. Podnieśli się prędko i Greta oddała pokłon, jak umiała.

— Zawołaliście mnie w dobrą godzinę — rzekła leśnica i wskazała palcem na tarczę słoneczną nad głowami — a dobry uczynek — wskazała znów na trzy krzyże — wart dobrego uczynku. Złotem i srebrem obdarzyć was nie mogę, ale mam dla was coś lepszego. Chodźcie ze mną i nie lekajcie się, a weźcie dzban, może się wam przydać.

Tak rzekła, pomknęła naprzód. Jan wziął na ramię siekiere, Greta zabrała dzban i szli oboje za nią. Szła ona zaś niby kaczka, Greta pociągnęła męża za ubiór i chciała mu coś powiedzieć o tym kaczym chodzie leśnicy, ale Jan położył palec na ustach. Nic tak leśnicy nie dotknie, jak naigranie się z jej chodu. Mają one bowiem gęsie nogi i dlatego też noszą przydługie szaty.

Wkrótce doszli do wyrąbanej polanki. Prastare drzewa stały wokoło łąki, z trawy wychyliły się lilie i krzaczki a wielkie motyle siedziały na nich, i poruszały skrzydłami. Jan, któremu się zdawało, że ma cały bór pod swą władzą, nie mógł sobie przypomnieć, żeby tu był kiedyś. Na skraj łąki stał mały domek. Ściany były korą pokryte, dach ułożony z szyszek, a każda szyszka była przymocowana kołcem z róży. To był właśnie domek leśnicy. Gospodyni zaprowadziła gości za dom i wskazała im źródło, w którym woda bez najmniejszego szmeru z czarnej ziemi wypływała. Po brzegach rosły mietczyki i soczyste storczyki, a złocisto lśniące się panny tańcowały w powietrzu nad zwierciadłem wody się unosząc.

— Jest to studnia młodości — rzekła leśnica. Wykąpanie się w niej czyni starca młodzieńcem, a staruszkę dziewczeczką. Woda ta broni od starości i darzy świeżą młodością aż do śmierci. Napelnijcie sobie dzban i zanieście do domu. Ale oszczędzajcie tej drogocennej wody; jedna kropla co niedziela wystarczy, żebyście pozostali młodymi. I jeszcze jedno: jeżeli, Janie, rzucisz okiem na inną kobietę, albo ty, Greto, na innego mężczyznę, to woda straci moc swoją. Pamiętajcie o tem, a teraz naczepcie i bywajcie zdrowi!

Tak mówiła, i unikając podziękowań szczęśliwej pary, weszła do domu. Greta zaś napelniła dzban wodą młodości, potem oboje pobiegli szybko, jak tylko mogli, do swojej chaty.

W domu przelał Jan wodę do flaszki i zalepił otwór żywicą. — Teraz jeszcze — mówił — nie potrzebujemy wody młodości i możemy ją zaoszczędzić. Przyjdzie czas, że nam się przyda. Postawili flaszkę do szafy, gdzie chowali swoje skarby: kilka starych monet, sznur granatów, u którego wisiał złoty pieniądz, i dwie srebrne łyżki.

— Ale, Greto, teraz dopiero trzeba się pilnować, żeby woda swojej mocy nie utraciła.

Pilnowali się też — i jak jeszcze! Jeżeli młody leśniczy koło ich ogródka przechodził i Gretę, jak zwykle czynił, pozdrowił, to Greta z grządek nie podniosła nawet oczu ku niemu. A gdy Jan wieczorem pod „Białym Jeleniem“ siedział, a ładna Liza przyniosła mu wino, to marszczył na nią brwi, a potem już wcale nie chodził do gospody,

lecz zostawał w domu przy żonie. To też woda musiała zachować swoją czarowną moc.

Tak upłynął im rok miłości i szczęścia i z dwojga było troje. W kolebeczce przewracał się chłopczyk i krzychał, aż się ojcu serce śmiało. — Teraz — powiedział — nadszedł czas, żeby otworzyć flaszkę. Co myślisz, Greto? Kropla wody młodości dobrze ci zrobi. Ona się zgodziła, Jan poszedł do izby, gdzie trunek cudowny był zamknięty. Drżącymi rękami odejmował żywicę, w tem, oj biadaż, biada, flaszka mu się wysliznęła z ręki i woda młodości wylała się na ziemię, nie wiele brakowało, że i on sam byłby upadł, tak go nieszczeście to przeraziło. Co począć? Jako żywo, żona nic o tem wiedzieć nie może, co się stało; przestrasz mógłby ją o życie przyprowadzić. Może jej to później zwierzy; może też odnajdzie raz jeszcze studnię młodości, której dotąd, co prawda, napróżno po lesie szukał, może się strata powetuje. Prędko napelnił drugą podobną flaszkę wodą ze zwykłej studni, i tej też wody podał żonie.

— Ha, jak to umacnia i orzeźwia — rzekła Greta. — Weź-no i ty, Janie, choć kroplę.

Jan usłuchał i chwalił siłę cudownego trunku i od tego czasu co niedziela, gdy dzwoniło do kościoła, brali oboje po kropli. I kwitła Greta jako róża, a Janowi były wszystkie mięśnie siłą i zdrowiem. Drwał jednak wyznanie prawdy odraczał z dnia na dzień, gdyż w cichości się spodziewał, że przeciw studnię młodości odszuka.

Tak upłynęło kilka lat. Do małego chłopczyka przybyła mała dziewczeczka, a pani Greta do okrągłej twarzy dostała drugi podbródek. Ona tego sama nie widziała, gdyż lusterek jeszcze wtedy nie znano; Jan to widział, ale strzegł się coś o tem wspomnieć, a miłość jego dla kochanej kobiety stała się podwójnie silną. Wtedy wydarzyło się nieszczeście; przynajmniej pani Greta tak sądziła. Gdy jednego dnia porządkowała, mały Pietrek, jej najstarszy, dostał się do szafy, w której stała flaszka z ową niby wodą młodości; chłopiec niezgrabny przewrócił flaszkę; rozbiła się, a woda się wylała.

— O najśodsze nieba — jęczała matka — to tylko szczęście, że Jana niema w domu! — Drżącymi rękami pobierała skorupy z ziemi, a do szafy postawiła inną, podobną flaszkę napelnioną wodą ze studni. Oj doloż, dolo! Oszukaństwo wnet się wyda, bo skończyło się już z wieczną młodością. Oj doloż, dolo!

Tymczasem postanowiła nic mężowi jeszcze o tem nie wspominać.

Znowu upłynął kawał czasu, a małżonkowie żyli ze sobą jak onego dnia, gdy proboszcz ich ręce połączył. Jedno drugiemu wystrzegało się bacznie dać poznać, że młodość minęła, i co niedziela skrupulatnie brali po kropli owej wody cudownej.

W tem zdarzyło się, że Jan jednego rana podczas czesania się spostrzegł u palców przyczepiony siwy włos. Pomyślał sobie: „Teraz już czas żebym żonie prawdę odkrył.“ Z ciężkiem tedy sercem zaczął:

— Greto, mnie się zdaje, że nasza woda młodości straciła swoją moc. Patrz, oto znalazłem siwy włos; starzeję się już.

Greta, w pierwszej chwili przerażona, prędko się opamiętawszy, i z głosem śmiechem zawołała:

— Jeden siwy włos! Byłam ja dziewczynką dziesięcioletnią, a miałam już jeden siwy kędziorek pod włosami! To się często zdarza. Niedawno temu wypychałeś żbika, może ci się trochę jego tłuszczu do włosów dostało, bo tłuszcz ten zabarwia włosy na siwo. Nie, Janeczku, woda ma jeszcze swoją dawną moc, albo — i spojrzęła z trwogą na niego — czy się tobie wydaje, że i ja starzeję?

Na to Jan głośno się roześmiał.

— Ty, stara? Ty mi kwitniesz jak róża we świętce — objął jej tęgą postać i pocałował najdroższą.

Potem pomyślał z cichą radością:

— Dzięki Bogu, ona nie miarkuje nawet, że się starzejemy. A no, to i dobrze.

Tak samo też myślała i kobieta. Wieczorem tegoż dnia tańczyła młodzież wiejska, po skrzypkach wędrownego grajka, a żadna para nie kręciła się żywiej około lipy, niż Jan i Greta. Ko-

biety wiejskie pokpiwały sobie z nich, ale oni oboje w swojej szczęśliwości nie słyszeli tych ludzkich języków.

(Dokończenie nastąpi).

Dalszy ciąg „Książki pamiątek“

N. ŻMICHOWSKIEJ

znaleziony w papierach autorki.

(Dokończenie).

XIV.

Ledwo przy ostatnim schodzie zdążyłem Romualda zatrzymać.

— Helusia jeszcze nic nie wie o moim wyjeździe — rzekłem do niego przyciszonym głosem — proszę cię, niech to między nami, li między nami, aż do pojutrze zostanie, wszakże się czujesz zdolnym przez trzydzieści sześć godzin utrzymać taki niewinny sekret.

— Hm! niewinny? trzeba złożyć dowody — i figlarnie spojrzął mi w oczy i pod najweselszym wrazeniem, dziecinnej jak on ją miewał, pustoty, wbiegł prędko do pokoju, gdzie Helusia właśnie siedziała.

Wbiegł, ale za progiem stanął jak wryty. Czy go dziwna nieśmiałość ogarnęła, czy wzrok promienisty Helusi przykuł do miejsca? — ja wiem tylko, że byłbym go uściskał za tę chwilę pomieszania, wzruszenia, obawy, za to nagłe stracenie fantazy, a poczucie jakiegoś lekkiego uszanowania.

Pani Agnieszki nie było jeszcze; Małgosia w drugiej izbie przy gotowaniu się krzątała; dziewczęcę samo z myślami swemi zestawione łokieć na stole, a główkę wsparło na dłoni i widać było, że w sobie dosłuchuje przerwanej Romualda muzyki. Cichość ulicy, drzwi odemknięte, niewielka schodów wysokość, wszystko to razem ułatwiało pochwylenie każdego brzmienia w jego najsubtelniejszym zadrgnięciu. Kiedyć ja, profan, tak się dałem oczarować świetnej improwizacji Romualda, można sobie wyobrazić, jak współkastowa, współwyświęcona Helusia zachwycać się nią musiała; ale ten wrzask ostatni, dla mnie słowami i prośbą Romualda uzupełniony, dla niej się niczem wytłómaczyć nie mógł. Ciągnęła dalej w wyobraźni swojej rozwinięcie pierwotnego tematu, lecz do ładu trafić jej było trudno i pewne zmezczenie w całej postawie się odbiło, gładkie czoło w dwie prostopadłe między brwiami wyrysowało się kreski, twarz, nie powiem, że zbladła, ale zbieła trochę, niby po już przemijającym osłabieniu. Wejście nasze niczem ani wyrazu oblicza, ani układu postaci nie zmieniło: Helusia miała pod tym względem niekarną, ale prześliczną naturę. Przykrzym zawsze, niepodobnym w niektórych chwilach był dla niej wszelki gest konwencyonalny, ukłon, schylenie głowy, podanie ręki, przymilający uśmiech witania lub pożegnania; na nie się zdobyć nie mogła, jeżeli to równocześnie w jej usposobieniu nie leżało; ale też kiedy się zdobyła, mimowolnie każdy szczerzej odczuwał i wyżej sobie cenił. W pierwszych początkach naszej znajomości bardzo długo wytłómaczyć sobie nie umiałem: dlaczego najprostsze pozdrowienie Helusi więcej na siebie zwracało uwagi i dłużej było pamięci przytomne, niż miłszej sercu częstokroć i daleko pożądanej życzliwości objawy? Gdy Marya Regina uniosła się z krzesła lub kanapy na moje przyjęcie, gdy mi z wdziękiem nie tak bardzo odlegle do siedzenia wskazała miejsce, gdy rzuciła najlaskawszym o zdrowie lub o rachunek z dnia wczorajszego pytaniem, czułem, że mi jest „dobrze“ na świecie, ale nie czułem, że ona jest „dobrą“ dla mnie; była to, zaiste, wielka uprzejmość z jej strony, ale był także i zwyczaj towarzyski. — kilka słów tylko, lub nazwiska przemienić, te same względy mogły spotkać pierwszego lepszego z przybywających gości. U Helusi przeciwnie:

rzemieślnicze, nieforemkowe, a przy pieczętach rodzicielskich jej samowoli zostawione wychowanie rozwinięto do wysokiego stopnia pierworzutność wrażeń, wyrażań i ruchów. Kiedy była czasem pilnie szyciem zajęta, to choćby aksamity i gronostaje do pokoju weszły, nie byłaby oczu podniosła, ani też igły z ręki nie byłaby wypuściła. Kiedy miała do śpiewu ochotę, to jej głosik słowicznie rozlegał się po dworku całym, po ogródku, po ulicy nawet, a czy kto słuchał, czy nie słuchał, jej to było wszystko jedno; żadna twarz obca nie „żenowała“ jej wówczas, lecz kiedy na ochocie zbywało—oh! to znów prośby, namowy, jej własne usiłowania na nic się nie przydały. Dziwna jej natura ciągłego, w najdrobniejszych szczegółach potrzebowała natchnienia.

Ludzie, którzy o sobie jakimkolwiek wrażeniem znać nie dali, ginęli jej zprzed oczu; nigdy Helusia nie wiedziała, gdzie było więcej, a gdzie mniej osób — gdzie stroje świetne, a gdzie skromniejsze ubrania; z przechadzek swoich, z nieczęstych w okolicy warszawskie wycieczek, zawsze wprawdzie przyniosła jakies wspomnienie, albo spostrzeżenie jakieś: bo nie trzeba znów sobie wyobrażać, że Helusia po obłokach chodziła i że jej samej w niej samej nie było—wiele jest takich aż do bezmyślności marzycielskich organizacyi—moja wybrana siostrzyczka nie do nich należała — dzięki Bogu. Zanosiła się po trochu na tę szkaradną chorobę, wtenczas, gdy ją bezmowna tęsknota dręczyła, lecz skoro tylko raz się otrząsnęła z padającej na nią niemocy, wszystkie władze ducha do życia powołane nie zasnęły już potem w owej limfatycznej, ospalej martwości, którą dykcyonarz ostępowanych fałszów marzycielstwem nazywa. Nie, Helusia nie była marzycielką, chociaż się dla niej tego bardzo obawiałem; Helusia nie znała chwil pustych i czechy zupełnie: jej myśl była zawsze wypełniona jakąś stanowczą, w słowa ujętą ideą; jej serce zawsze uderzało pewnem i nazwać się mogącym uczuciem: zbierała więc i wspomnienia i spostrzeżenia po drodze, lecz najcześniejsze takie, którychby inni może z ziemi nie podnieśli, a wymijała takie, które wszystkich uderzyć mogły. Co zaś górowało nad jej całą osobistością: to głównie zdolność—iż tak rzeknę—topienia się, absorbowania się w chwili obecnej, w pracy obecnej, we wrażeniu obecnie doznawanem; ztąd szła i trudność owa do zadośćuczynienia wielu prostej przyzwoitości przepisom. Nie zliczyłbym nawet, ile razy moje pozdrowienie bez wzajemnego pozdrowienia przepadło, moja grzeczność lub przysługa nawet wdzięcznem nie opłaciła się spojrzeniem: a jednak to wszystko w innych chwilach sownie nagradzało się znów! Helusia niby nie tworzyła odrębnych znaków i wyrażań na objaśnienie tego, co się w jej duszy działo; więcej powiem: Helusia była skąpą i głosu i ruchu każdego; ale głos i ruch każdy zawsze to jedynie wyrażał, co mu kiedyś, przed puszczeniem w obieg pospolity, wyrazić było przeznaczonem.

W owej chwili, gdyśmy weszli z Romualdem, dziewczynka bardzo głęboko jeszcze muzyką i dzwaniem jej zakończeniem, lub raczej dziwnym jej niedokończeniem, zajęta, zupełnie wypuściła z uwagi, że mój towarzysz poraz pierwszy dnia tego jej się przedstawiał. Romuald śpieszył do uśmiechu, do ręki serdecznie podanej, a tu niespodzianie na progu zaraz spotkał się ze smutnie surowym wyrazem jej twarzy; gdy go przytem ogarnęło zaniepokojone, pytające spojrzenie tych półbłękitnych, półsłonecznych oczu—nie śmiał dalej postąpić, bo, przyznał mi się później—tak go coś nagłym strachem przejęło, jakgdyby cała rozmowa nasza przez Helusią podsłuchaną być mogła i jakgdyby obraziła ją śmiertelnie. „Wszystko stracone!—ona mię nigdy kochać już nie będzie“—pomyślał sobie z przerażeniem, a Helusia tymczasem, wcale nierozgniewana, wcale nieobrażona, swoim najłagodniejszym właśnie, przytłumionym, lecz pełnym dźwięku przenikającego, odezwała się głosem:

—Cóż-to się panu stało, panie Romualdzie? Na kogo się tak zniecierpliwiała ta nuta ostatnia? Nie mogę zrozumieć—ona przecież do ciągu tego, co pan grałeś, nie należy?

W Romualda jakgdyby dusza wstąpiła—prędko

zbliżył się do Helusi, ujął jej rękę, i w swojej ręce dłużej nad uścisk powitania zatrzymał. Krótka to była chwila, dla mnie przecież jedyna, w której się zblizka przypatrzeć mogłem, jak cudownymi blaskami twarz kochającej kobiety promienieje. Zdawało mi się, że doskonale już pojał całe bogactwo duchowej piękności z tych niby mniej kształtnych rysów Helusinych przeświecające; nagle spostrzegłem, że ja się ani cząsteczki jego nie domyślałem nawet; dopiero pod wzrokiem Romualda wyblysnęło „z paczka tajemnicy“ zjawisko dziewicze. Rzekłbyś, iż światłość jakaś zaskórna z opalów i rubinów po licach się rozlała. Spojrzenie, zwykle do głębi własnej duszy powściągnięte, wezbrało teraz i płynęło na świat boży strumieniem szczerolotym tak czystego ukochania, tak nieprzebranej, nieograniczonej dobroci, że tylko ręce składać i o pomoc w drodze życia, o pociechę w strapieniach, o uświęcenie w radości jej prosić. Nie, trudno pojąć nawet bez żywego przykładu, jak taborowym cudem rys każdy z osobna wyszlachetniał, wywdzięczniał, wyrobił się do stopnia właściwego sobie ideału.

Ja myślę, że gdybym się w niej był kochał, to-bym zawsze miał władzę widzenia jej taką, jak wówczas widziałem, jak nigdy ani pierwej, ani już potem przypominieć jej sobie nie mogę. Miłość musi być chyba przecuciem, odgadnięciem, a nakoniec uprzytomnieniem sobie tej doskonałej piękności, którą jako możliwość Bóg na każdej, choćby też i bardzo brzydkiej, twarzy złożył. Kto obojętny, ten się jej nie domyśla wcale; kto życzliwie, uważnie, z pewnem już własnej moralności podniesieniem rozpatruje się w fizjognomiach ludzkich, ten ją czasem spostrzeżga, czasem wywnioskowywa: ale kto kocha, ten zawsze, w każdej chwili żywymi oczami, na żywą i wcieloną patrzy. Jestem pewny, że Romuald, jeśli nie sercem, to artyzmem i talentem, od pierwszego spotkania zaraz ujrzał Helusie w jej seraficznym przemienieniu. A ja sam, czyż dla tego Maryę Reginę kochałem, że według powszedniego dykcyonarza piękniejszą, przystojniejszą od Helusi była? Oh! nie, dziś to wiem jeszcze, iż mi się w niej nie upodobał ani poprawniejszy rysunek, ani świetniejszy koloryt, ani żaden z tych ujętych, określonych kształtów, które każdy przechodzący na ulicy rozeznac i nazwać sobie potrafił. Nie, moja Marya Regina nie była Maryą Reginą warszawskich salonów: ona ciągle stała przede mną w pierwowzorze swoim, jaką przed narodzeniem Bóg ją w swej świętej myśli stworzył — jaką po śmierci w zbawieniu swoim być była powinna: jasna, silna, archanielska, nanawet taka, jakiej nigdy dowiedzieć nie mogłem, nawet tkliwa i kochająca. Toż-to właśnie w pierwszych dniach mojej wiekuiestej straty najwięcej mi dokuczało. Gdybym odrazu był sobie powiedział: „omyłka lub niepodobieństwo“ — odrazu także byłbym ją wyrwał choć z kawałem zakrwawionego serca i, nie rozmazgajalym się w żalach bezcelnych i bezskutecznych ku przeszłości zawrotach. Ale na nieszczęście wiedziałem sam przed sobą, ile tam skarbów zakłetych w tej Szamie złożonych! a co gorzej, tkwiło we mnie to przekonanie głębokie, że nikt inny tak dobrze nie wie, że mnie tylko dostała się zdolność osobna jakaś na przeniknięcie wszystkich tajemnic tej duszy. Ja się mogłem nie zrazić jej wyższością, nie upokorzyć jej pychą, nie zniechęcić jej egoizmem rodzinnym, bo ja czułem, jak ta „wyższość“, najczęściej zawadzająca w kobietach, dookoła niej wdziękiem i koniecznością dobrego się roztaczała; czułem, że to jest wyższość, która wznosi i podtrzymuje towarzyszków, a nie spycha ich z drogi swojej—wyższość, przed którą, nie czoło nachylać, lecz przy której w górę ku słońcu rość trzeba. Jej pycha znowu — to proste chemiczne pokrewieństwo natury ze wszystkim, co wielkie, świetne, szlachetne; wśród drobnotek i błędów poziomych stąpa ona wzgardliwie trochę, szyderczo trochę i ze wstrętem; ale wezwać ją do najrozleglejszej pracy, rzucić w jej przeznaczenie najtrudniejsze a piękne do spełnienia przedsięwzięcia: z pychy wykwitnie siła, potęga, energia. A cóż dopiero owo jej samolubstwo

rodzinne! Czyż-to ono w czemkolwiek psuć mi mogło harmonią całości? ono ją właśnie najpiękniejszą koroną wieńczyło — ono kładło świadectwo o niezaspokojonej niczem potrzebie kochania; ono rozbudzało wszystkie nadzieje — ach! i wszystkie żale moje! Marya Regina mogłaby kochać; Marya Regina musi kochać pod grozą ostatniego zubożenia na duchu; Marya Regina kochać będzie zapewne: lecz czy znajdzie takiego, co ją pojmie, uzna, oceni? Ja tak-bym umiał dzielić się z nią sprawiedliwie! tak-bym wiele przyjmował bez fałszywego wstydu! tak wszystko własne oddawał z radością!.. Ha! to szatan chyba wichrzy po świecie.... Mnie ona kochać nie może....

ZIMA W FU-CZEU.

SZKIC GEOGRAFICZNY.

przez panią L. P.

przekład z Francuzkiego.

Byłam w Szang-Hai podczas świąt Bożego Narodzenia. Są one tam bardziej ożywione i daleko weselej obchodzone, niż w wielu europejskich miastach. Wielkie bazary Holl i Holz oświetlane były co wieczór. Ogromna choinka wznosiła się w pośrodku pustej sali parterowej. Stoły zapelnione były ładnymi rzeczami, sprowadzonymi z Ameryki, z Francji, z Anglii i Indji. Wielkie organy grały różne arye z operi i akkompaniowały licznym rozprawom handlowym, tonącym się przy dźwiękach ich melodji.

Po ulicach Nanking-Road i Canton-Road liczni jeźdźcy na kucykach chińskich o grubych głowach i krótkich nogach, jechali obok drzewiczek pojazdów. Ten ruch europejskiego miasta przeniesiony do Chin był bardzo zajmujący, ja przecież nie chciałam widzieć Europy w Chinach, lecz prawdziwe Chiny. Podczas biesiady świątecznej zdecydowałam się więc oświadczyć moim gospodarzom, iż pojedę do Fu-Czeu.

— Do Fu-Czeu! ale któż to jedzie do Fu-Czeu! — wykrzyknęli obecni. — Jedynym mieszkalnem miastem chińskim jest Szang-Hai.

Zwiedziwszy Szang-Hai i jego okolice, kazałam się zaprowadzić na przystań rzeki Wampah, gdzie znalazłam jeden statek odpływający za 3 dni. Jakkolwiek statek był mały, gabinety jego odznaczały się elegancją. Kapitan był Anglikiem, majtkowie Malajczykami, usługa chińska.

Zabrałam ze sobą chłopca chińskiego z Nankinu, przyzwyczajonego do usługiwania damom, kolonistkom francuzkim i angielskim z Cin-Cin i z Szang-Hai. Miał on paznogcie niezmiernej długości, dla okazania całemu światu, że nie pracował, że dotykał się tylko rzeczy delikatnych, jak sukien jedwabnych i koronek, a co najwyżej jedwabnego obuwia, gdyż obuwie skórzane dawało do czyszczenia innym chłopcom, niżej położonym w socyalnej hierarchii posługaczy.

Nazajutrz niebo się rozjaśniło, a wzburzone morze uspokoiło się nieco. Wypłynęliśmy narreszcie na rzekę Min, która się wslawiła w Lipcu 1884 r.

Min płynie wężykowato i szeroko, chociaż płytko, a w niektórych miejscach nie ustępuje pięknością swych gór i błękitem wód jezioru Como.

Wzdłuż rzeki tu i tam widać malownicze wsie, pochowane w zakrętach gór. Płynąc tak z godziny, spostrzegamy dziwną skałę, w kształcie nogi w bucie chińskim. Nazywają ją też *butem Buddy*.

Przeplłynawszy jeszcze kilka zakrętów, uformowanych przez góry o dziwnych konturach, mijamy wyspę. Tu rzeka się rozszerza — występuje obraz czarodziejski i zarzucamy wreszcie kotwicę naprzeciw pagody, obok arsenału. W tem miejscu przesiadamy się do szalupy parowej, którą płyniemy aż do Fu-Czeu.

Przystań arsenału jest oddaloną o 50 kilometrów od ujścia Minu. Można się tam dostać za

pomocą trzech dróg wodnych: *Kimpai*, *Min-Gan* i *Srodkowej*, która ma wprawdzie 1,200 metrów szerokości, ale tylko 3 sążnie głębokości w czasie odpływu morza. Na wzgórzu, naprzeciwko pagody, wznosi się świątynia kamienna w kształcie półksiężyca, wybudowana dla prześlągnięcia potężnego *Feu - Czui*, oraz innych protektorów miejscowości, zagniewanych srodze na wybudowany arsenał, o formach pochodzenia europejskiego.

W *Fu-Czeu* zbliżamy się do bulwarku *Kompanii Jardine*, najstarszego stowarzyszenia angielskiego żeglugi w Chinach, które założone zostało przed 50 laty. Poprosiłam agenta o przystanie mych rzeczy, co obiecał mi uczynić, nie dotrzymał jednak słowa i musiałam sama iść po nie nazajutrz.

W towarzystwie mego służącego doszłam do „koncesyi“ europejskiej, w *Fu-Czeu*, którą tworzy ulica zabudowana domami kanałowego stylu, zawierająca komorę celną, obsługiwana przez cudzoziemców; dalej fabryki herbaty i domy handlowe.

Przechodzimy pomiędzy domem telegrafu duńskiego a klubem kantonńskim, wielkim gmachem, gdzie się zgromadzają kupcy miejscowi, przebywający tam czasowo. Wbrew zwyczajowi klubów europejskich, damom wolno oglądać wnętrze klubu kantonńskiego, składającego się z salonów umeblowanych po chińsku, t.j. z pomocą dywanu (rodzaj kanapy), na dwa miejsca, wzniesionego naprost wejścia i otoczonego dwoma rzędami foteli z twardego drzewa, symetrycznie ustawionymi. U stóp każdego fotela znajduje się porcelanowa waza służąca za sopluczkę. W oznaczone dni roku klub urządza bezpłatne przedstawienia dla ludu a wtedy gromady zalegają podwórza i bramę. W jednej chwili powstaje targ, gdzie sprzedają ciasta, herbatę i lakoście.

Zostawiwszy klub po prawej stronie, idziemy ulicą, ozdobioną pięknymi willami, ku środkowi części europejskiej, która jest cudownie położona, lecz sąsiaduje z cmentarzem chińskim tak, że pod oknami konsulatów Stanów-Zjednoczonych, Rosyi, Francji i Anglii, codziennie przechodzą pogrzeby. W oddaleniu zaś przebijają prześliczne niebieskawe góry, zdobiące *Min*.

Mieszkałam pewien czas w domu konsula rosyjskiego, który mnie bardzo dobrze przyjął.

Dom konsula jest urządony, podług zwyczajów tamtejszych. Każdy Chińczyk lub Chinka godząc się do służby, przynosi ze sobą łóżko i pościel, składające się z kilku małych materaców, poduszek i kołder; a ponieważ godzą się bez życia, mają więc i swoje statki kuchenne. Ubierają się też sami, elegancko, jeżeli państwo nie chcą, aby nosili liberyę chińską. Główny służący konsula chodził zawsze w czarnym aksamitnym ubraniu, ozdobionem złotem i emaliowanemi guzikami. Tragarze zaś ubierali się niebiesko, nosili czapki urzędowe, czarne aksamitne z żółdziejami z czerwonego atłasu, a wieczorem zaopatrzeni byli w urzędowe latarki, na widok których straż otwierała im bramy miasta.

Konsul zwykle kazał się nosić w swej lektyce mandaryńskiej, bardzo ciężkiej, a ponieważ i on sam był wysokiego wzrostu i dobrej tuszy, więc tragarze jego męczyli się nadzwyczaj prędko.

I ja też kupiłam sobie lektykę i dwa drągi z twardego drzewa, które były droższe od całej lektyki. Razem zapłaciłam 14 dollarów (52 franki). Wynajęłam następnie 3 tragarzy, każdego za 4 dollary miesięcznie, bez życia, i nie potrzebowałam się już o nich troszczyć. Nosili mnie od rana do wieczora, a czasem i w nocy, szczęśliwi, że nie wielkiej wagi ciężar dźwigają na swych barkach. Tramwaje i omnibusy w Europie kosztowałyby mnie drożej.

Przyjaciół mój, generał *Czeng-Ki-Tong*, rodem z *Fu-Czeu*, przyszedł do konsulatu z prośbą, abym odwiedziła jego rodzinę.

Odbyłam tę wycieczkę, pewnego pięknego styczniowego poranku. Moi trzej tragarze przyjęli sobie pomocnika, i w godzinę minęłam dwa mosty *Minu* i miasto chińskie, wydające niemiłe wyciewy, których powód później wyjaśnię. Będąc już prawie na końcu miasta, tragarze skręcili w cichą ulicę, zamieszkaną przez mandarynów. Za-

trzymali się dopiero przed podwójnymi drzwiami, stojącymi otworem na moje przyjęcie.

Wnieśli mnie na pierwsze podwórze, gdzie wysiadłam, witana przez *Czeng-Ki-Tonga* i jego wujka *Liu*, wielkiego bogacza. Ci zaprowadzili mnie do pań, które już mnie oczekiwały na wnie sieniu, otaczającem drugie podwórze — wszystkie poubierane w jedwabie, perły i drogocne kamienie. Po serdecznem powitaniu poprosiły mnie do pokoju pani *Liu*. Zauważyłam, że z trudnością chodziły na swych małych nóżkach.

Zasiedliśmy przy okrągłym stole, na którym postawiono takąż tacę z przedziałami, ozdobioną białą emalią i rysunkami. Częstowały mnie likierami chińskimi, konfiturami ze śliwek, makiem cukrzynym, imbirem i t. d.

Było tam ze 30 dam, które ciekawie mi się przyglądały, zadając pytanie, charakterystyczne dla wszystkich kobiet w Azji, zaczawszy od *Konstantynopola* aż do granic tego największego kontynentu „Ile masz dzieci?“ — i ubolewały nad mojem nieszczęściem, dowiedziawszy się, że ich nie posiadają. Pozwalałam się zalać, z filozoficznym spokojem. Mężczyźni stali w drzwiach damskiego budoaru, gdyż taki zwyczaj w Chinach, że zostawiają damy same, skoro te mają gości.

Po tej ceremonialnej wizycie pokazano mi dom. Jak wszystkie mieszkania chińskie, pałace, świątynie lub chatki, mieści on w sobie coś w rodzaju atrium, na które wychodzą drzwi salonów i pokoi. Drzwi te są częstokroć zupełnie okrągłe, sprawiające dziwny, ale dobry efekt. Wyglądają jak ramy obrazu, gdyż odrzwia ich obwiedzione są pięknymi rzeźbami z twardego drzewa. W bardzo wielkich salach, stoją parawany, nie takie jednak, jak w Europie, składające się ze skrzydeł, lecz z wielkich kwadratów, osadzonych na drewnianej, artystycznie rzeźbionej podstawie. Taki parawan, obity atłasem haftowanym i malowanym, przedziela salon, nie psując symetrii. Pokoje sypialne bywają bardzo małe. Łóżko jest kształtu kwadratowego katafalka, z drzewa bambusowego, założone mnóstwem małych jedwabnych materaców, które na dzień się zwijają, kładzie na jeden stos w rogu łóżka, i przykrywa jedwabną pikowaną z haftami kołdrą. Wielkie kufry, etażerki inkrustowane, ze słoniowej kości lub laki, zdobią ściany. Chinki mniej daleko mają ambarasu z toaletą, niż my; nie noszą tych wszystkich fatalaszków, europejskich, lecz tylko szarawary i jedną lub dwie spódniczki jedwabne z wierzchu. Wszystkie Azyatki, Turczynki, Egipcjanki i Chinki noszą szarawary gładkie, lub plisowane, co stanowi prostą i wygodną odzież, z wierzchu zaś kładą suknie krótsze lub dłuższe.

Życie ich mniej jest skomplikowane, niż w Europie, a kobieta nie traci tyle czasu na studia toalety. Mody zaś tamtejsze nie zmieniają się co chwila.

W miejsce naszych szaf, często tak dużych, jak małe domki, mają one piękne kufry na nóżkach, gdzie trzymają wygodnie różne przedmioty, a drogocenne szkatułki drewniane napełnione są perłami. Są to ozdoby, które Chinki najlepiej lubią. Noszą także kamień, zwany nefrytem z błado i ciemno-zielonym odcieniem. W kopalniach chińskich znajdują się rubiny i szafiry, bardzo cenione przez panie, które nimi ubierają małe żółędzie z pereł w ten sposób, że na końcu każdej nitki zawieszają rubin lub szafir.

Chinki bardzo się różnią, ten róż ich jest dosyć nędzny, nie tak dobrze spreparowany jak europejski. Blanszują się także nadmiernie, co ich również nie czyni piękniejszymi. Stokroć ładniejszą jest ich cera żółta naturalna, niż ta białosc figur gipsowych. Zdarzają się jednak bardzo ładne Chinki, pomimo trochę wystających kości policzkowych. Owal twarzy wydłużony i delikatny, żywe oko okrążone jest długą i czarną, jakby umaczną w tuszu rzęsą. Czarność włosów niebiesko-połyskująca. Chinki nie są wysmukłe, prędzej trochę krępe; w ramionach szerokie, jak kobiety tatarskie z nad Wołgi. Są za to zdrowe i silne, w starszym wieku nie tyją, jak Europejki, tak zwykle szczupłe w młodości. Nie są one ani zbyt szcuple zamlodu, ani też za tęgie w latach dojrzałych. Nie noszą też gorse-

tów, wskutek czego zapewne, nie chorują tak, jak kobiety w Europie. Za to wszystko Chinki wymyśliły tortury dla wytworzenia małych nóg, które są brzydkie i podobne do stóp sępic.

Im więcej poznajemy ludzkosc, tem więcej podziwiamy jej spryt w wynalazkach, aby utrudnić sobie życie. Małe nogi w Chinach, przedziurawianie uszów w Indyach, tatuowanie u dzikich, gorsety, krynoliny i przyprawiane warkocze w Europie, są to wszystko głupstwa nieporównane.

Appartamenta chińskie odznaczają się czystością i symetrycznem umeblowaniem, nade wszystko zaś salon, który wygląda, jak sala konferencyjna. Kilka małych salonów objają materją jedwabną, czerwoną lub żółtą, a kołnierze pekińskie na tle białem zaścielają podłogi. Kwiaty są tam bardzo lubione tak, że na poręczach balkonów stoją porcelanowe donice z niepospolitemi roślinami. Baseny i fontanny też są ozdobione kwiatami. Na ścianach bywają imitowane skały z kamyków i muszli, przez które przepływa woda w kształcie kaskady. Na ostatniej warstwie tej skały umieszczone są figury porcelanowe, lub smoki, potwory, nawet ropuchy i pająki ogromnych rozmiarów z brązu i porcelany.

Drogocenne dzieła sztuki rzadko bywają wystawione; zwykle trzymają je w pudełkach obitych atłasem. Tylko gościom pozwalają je podziwiać, poczem zaraz chowają do właściwych kufereczków.

Generał *Czeng-Ki-Tong* jest posiadaczem domów na wsi, które są budowane jeden nad drugim na górach, tak, jak to przedstawiają obrazki na wachlarzach z kości słoniowej lub laki.

Usadowiono mnie znowu w lektyce. *Liu* i jeszcze kilka osób uczyniło to samo i tak ruszyliśmy oglądać domy na wsi, połączone ze sobą mostami, krytymi galeryami, alejami bambusowymi. Zajmujące są bardzo kioski w laskach bambusowych, służące na święta, które trwają często całe tygodnie. Wieczorem rozlega się muzyka i śpiewy, przy odgłosie gongu i przy blasku sztucznych ogni. Podobne rzeczy odbywają się na łodziach ozdobionych kwiatami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ŻYCIA WIKTORA HUGO.

(Dalszy ciąg ob. N. 28).

Szlachetna ta postać chrestnego ojca i wykładki, które się wkoło niej grupowały, wywarły głębokie wrażenie na dziecko, które już miało w sobie duszę poety. Biedny zbieg został zdradliwie odkryty w domu Boga i ptaków; wprowadzono go, zamknięto w więzieniu *La Force*, a był to w dziecinnem życiu *Wiktora Hugo* pierwszy wielki, i jako wrażenie nigdy nie zapomniany wypadek. Wkrótce też potem zaszła ważna zmiana w życiu rodziny. Brat teraz generała i hrabiego *Hugo*, *Ludwik Hugo*, także generał, przybył do Paryża, z missją zabrania bratowej z dziećmi do Hiszpanii, która zdawała się ostatecznie podbitą. Wprawdzie kraj nie płacił podatków i król *Józef* otrzymywał co trzy miesiące dwaście milionów, przysyłanych z Francji, a które jechały do niego także przez trzy miesiące, konwojowane przez silny oddział wojska z wiecznie nabitą bronią i armatami na froncie i tyłach. Z orszakiem tym łączył się zawsze tabór podróży i generałowa *Hugo* jechała do meża z tą karawaną, w karecie tak obwarowanej, że ścian jej nie byłaby mogła przebić karabinowa kula gerylasów hiszpańskich i trzebaby było na to chyba kartaczy. Kareta ta jechała zaraz pierwsza, tuż za *skarbem* króla hiszpańskiego, jak nazywano wtedy pieniądze te, przysyłane z Francji; poza nią ciągnęło trzysta rozmaitych wozów z podróznymi zaprzężonych w trzy, cztery, sześć mułów, dalej wojsko i tak, jak na przodzie, armata gotowa w każdej chwili

zionać ogniem. Dumas pisze w pamiętnikach swoich że konwój ten przedstawiał się jak długi, wijący się wąż, którego tak głowa, jak ogon wypuszczały zabójcze żądło na smialka, któryby się ważył podsunąć za blisko. Jak to musiało oddziaływać na wyobraźnię dziewięcioletniego chłopca, którego pamięci historyą z ojcem chrzestnym! Lecz wspomnienie to cofało się niejako w tył przez codzienność — nowe zdarzenia i obrazy, nowe zajęcia umysłu. Generał żądał od żony, aby dzieci, przybywając do kraju, który miał się stać ich drugą ojczyzną, znały cośkolwiek język tamtejszy i matka mająca na to trzy miesiące zastawionego jej czasu, zapowiedziała synom rzecz we właściwy sobie sposób: — Trzeba, abyście za trzy miesiące rozumieli pohiszpańsku — rzekła; pojętne chłopcy w sześć tygodni już zaczęli mówić tym językiem.

Gdy po trzymiesięcznej podróży, pełnej trudów i niepokojów, niebezpieczeństw zaczajonych na drodze — alarmów, wstrząsających dniami i nocą, przybyli do Madrytu w Czerwcem 1811 r., generała Hugo tam nie było. Był on teraz majordomem królewskiego pałacu w Madrycie, był gubernatorem dwóch prowincji i w chwili przybycia żony z dziećmi znajdować się musiał na miejscu swego urzędowania, w Gadalaxara, gdzie nad brzegami Tagu wiodł taką samą wojnę z dzielnym gerylasem, Juanem Empecinade, jaką niegdyś prowadził w Wandei i w Kalabrii. Skończyła się ona tak, jak tamte: bohaterski Hiszpan tak został ujęty i stracony, jak generał Charette, jak Fra Diavolo.

Wtedy dopiero zwycięzca wrócił do Madrytu powitać żonę i dzieci, które zamieszkały tymczasem pyszny pałac Masserano, wspaniała i z bajecznym zbytkiem umeblowana budowla z XVII wieku. Ale tak matka i dzieci, przebywając tu i odbierając tylko urzędowe odwiedziny, sztywne zimne, rzucające im nieraz zpod oka spojrzenia pełne nienawiści, zrozumiały, jaki to świat ich otacza i żyje obok nich.

Wkrótce po przybyciu ojca synowie musieli opuścić wspaniałe sale, gabinety maurytańskie, ganki, których obrazy utkwily w pamięci najmłodszego z chłopców, aby wlat wiele potem odżyły w obrazach, które malowała jego wyobraźnia. Generał Hugo chciał, aby dzieci jego żyły się z Hiszpanią, która miała być ich krajem. Najstarszy Abel wkrótce po jego przybyciu został oddany do korpusu paziów króla Józefa; dwóch młodszych, którym to samo było przeznaczonem w przyszłości, umieszczono w Madryckim Seminarjum Szlacheckim, gdzie znaleźli się w towarzystwie hiszpańskich chłopców swego wieku. Nietylko tak Eugeniusz, jak mały Wiktor, nie mieli tam co robić, bo umieli wiele więcej, niż ich towarzysze, uczący się początków łaciny i historii Hiszpanii, ale otoczył ich żywioł nieprzychylny im, nienawistny nawet, a skryty i zacięty. Książę, który tu stał na czele, patrzył na nich wzrokiem, który ich kłutł; towarzysze dawali im uczuć co chwila nieprzyjaźń swoje; przychodziło do starć, do bójek i w jednej z nich Eugeniusz Hugo został dość głęboko skaleczony w twarz: — „Mieli za sobą słuszność, ci młodzi synowie Hiszpanii, ale dzieci nie wiedziały o tem“ — napisał później poeta, przywodząc sobie na pamięć wspomnienia tych dzieci „walczących już wtedy za Francją“, jak wyobrażały sobie. Ale ku końcowi 1812 roku położenie malców, i nietylko malców, stawało się nieznośnem. Niepowodzenie Napoleona w Rosyi miało tu swoje oddziaływanie, grunt Hiszpanii rozpałał się pod nogami Francuzów i generałowa Hugo uważała, że byłoby nierozsąd-

kiem z jej strony przebywać tu dłużej z dziećmi. Najstarszy syn, już teraz podporucznik, pozostał z ojcem, nie chcąc i nie mogąc bez ujemy na honorze opuścić go, ale matka odebrała co prędzej dwóch młodszych z pomiędzy złowrogo patrzących na nich towarzyszy i wróciła do Francji, do Paryża, gdzie otworzyły się podwoje szczęśliwego rajy ich młodości. Wszystko tu ich czekało tak, jak to zostawili. — „Gniazdo było pełne cienia i światła, kwiaty kwitnęły w słońcu jesiennem, nawet wierny oratoryanin, zawsze w jednakowym, długim jak sutanna, surducie, przybył o swojej godzinie na lekcye.“ Nazwisko jego powinno być wymawiane z szacunkiem — dodał Wiktor Hugo w swoich ostatnich, na kilka lat przed śmiercią czynionych, wspomnieniach z owego czasu.

We wspomnieniach tych pozostał niezatarty nigdy inny obraz, scena wstrząsająca. Zaraz po powrocie swoim do Paryża, do Feuillantines, generałowa Hugo wyszła z obu synami na miasto o schyłku dnia październikowego; młodszy szedł obok niej; gdy przechodząc koło kościoła Ś-go Jakuba, ujrano wielką białą kartę na jednej z kolumn przedsiönka. Przechodnie spostrzegając ją, rzucali spojrzenie ukośne i odchodzili żywo, jakgdyby bojąc się czegoś; ale kobieta gdy tam oczy jej padły na obwieszczenie, które się tam zawierało, stanęła zawołała głośno na syna: — czytaj...

Dziesięcioletni chłopiec usłuchał naturalnie i przeczytał matce te słowa: „Cesarstwo Francuzkie! — W skutek wyroku najwyższej rady wojennej, rozstrzelano na równinie Grenelle za zbrodnią spiskowania przeciw cesarstwu francuzkiemu, trzech byłych generałów francuzkich: Malet, Guidal i Lahorie.“

Jakie było wrażenie, wywarłe na malca, który to czytał, błąd, o zroku październikowym, łatwo pojąć. A jaką była ta matka, chowająca go w ten sposób surowy i energiczny, maluje się też wyraźnie przez ten jeden fakt z dramatu.

Był też to rzeczywiście prolog rodzinnego dramatu, który miał się rozegrać między żoną a mężem, między ojcem a synami. Mąż już wtedy żądał od żony, aby tak nie zaciskała macierzyńskich objęć swoich wkóło, aby wypuściła ich z domu, oddała do kolegium, ale matka oparła się woli ojca, o czem syn tak napisał: — „Wszystkie te rzeczy słodkie, które były kwiatami, kasztanami i wiatrem wonnym szemrzającym wśród ich liścia, wszystko to szeptało do ucha matki: — Zostaw nam te dzieci... Matka też zostawiła im synków swoich.“ Czynił przeciw wszelkie możliwe usiłowania, aby jej wychowanie nie było zbyt miękkim, zbyt kobiecym. Stary oratoryanin zawsze miał w opiece ich głowy, lecz ona pilnowała dla nich tych środków, które rozwijając siły fizyczne, hartują zarazem mężkość. Kazała uczyć synów stolarstwa, kazała im wykładać ściany obiciem, kopać ziemię i pracować do potu czoła przy ogrodniku. Przyszły wielki poeta Francji słyszał nieraz, że książki nie dają chleba, że niejedyn uczoney umarł z głodu; i Wiktor Hugo przyznaje wielkie korzyści pedagogiczne temu kierunkowi, przez który może umiał potem przez całe życie cenić ten trud fizyczny, którego sam zaznał, i nauczył się wreszcie nie gardzić prostaczkim, który tak tylko może zarabiać na życie. Były to przytem czasy panowania Rousseau w pedagogice; mogła więc generałowa Hugo tak chcieć kształcić synów swoich; że zaś nie zaszkodziła w ten sposób ani wielkiemu poecie, ani nie naraziła delikatnego chłopca na wyczerpanie sił, mamy dowód widoczny, bo mążko rozwinięty dożył sędziwego wieku, co może zawdzięcza wła-

śnie temu wychowaniu hartującemu i niedającemu przykuwać się wyłącznie do książki.

Mały Wiktor chętnie się poddawał nakazanej mu pracy fizycznej, tylko — rzecz dziwna, on co tak kochał naturę, który kwiaty, drzewa, to wszystko wreszcie, co razem składa ogród, nazywał: „ces choses douces“, miał jednak do zajęć ogrodniczych niechęć wyjątkową, o której kilka razy wspomina. Obicia naklejał z największą przyjemnością.

Szkoły zamkniętej, odrywającej dziecko od domu, od matki, tak nie chwalił nigdy, a raczej tak ją ganił mocno, jak jej się bał niegdyś, będąc chłopcem. We dwadzieścia sześć lat od chwili, w której przechodził trwogi owe, w tomie poezyi swoich: „Rayons et Ombres“ przeklął inspektora Lyceum Napoleońskiego i nazwał go: „Człowiek łysy, czarny — przerażający, który dawał rodzicom rady, aby zamykano do niewoli dzieci, które się mają uczyć“.

Matka czuła tak samo, bo go nie dała zamknąć do niewoli i widocznie wielką miłość syna do matki, uczyniła go na zawsze tak tkliwym na los dziecka wydzielonego z rodziny. Tymczasem horyzont polityczny Francji pokrywał się coraz to czarniejszemi chmurami i generał Hugo znalazł się nagle, wraz ze starszym synem, otoczony niebezpieczeństwem wybuchającego na wszystkie strony powstania Hiszpanii. Syn miał lat piętnaście, ale stał już bohatersko przy boku ojca i służył mu za adjutanta, bił się obok niego pod Salamanką i pod Vittoryą, to jest w dwóch ostatnich bitwach. Generał dokonał odwrotu, który mu dawał sławę nietylko mężnego żołnierza, ale szlachetnego patrioty, bo wiedząc że już nie ma nadziei żadnej, narażał codziennie życie dla sławy francuzkiego sztandaru. Potem, odesławszy ostatnią już swoją pociechę matce, Ablę, sam bronił przeciw wojskom sprzymierzonym twierdzy Thionville, gdzie trzymał do ostatniej możliwości przeciw Hessom. Nie poddał się, ale Francya już nie miała siły i tchu do obrony; obce wojska rozbiły obóz na Polach Elizejskich i mały Wiktor Hugo dostał kwiatek lilii do zatknięcia w dziurkę swego surducika. Generałowa Hugo wprawdzie pojechała do Thionville, do męża, ale nakrótko — jej serce biło radością, a on rozpaczał, bo widział poniżenie Francji — i to dwoje ludzi rozdzieliło się naraz sercem.

Dzieci rozdzieliły się też nieszczęśliwie. Abel pozostał synem swego ojca, matka zagarnęła dwóch młodszych, lecz nagły powrót Napoleona I z Elby był naraz tryumfem generała i w rodzinie swojej. Zabrał dwóch swoich synów z domu i oddał ich na pensyę. Wiktor miał wtedy lat trzynaście, już pisał wiersze, ody, dramata i dzień w którym mu kazano iść do szkoły, był właśnie dniem przeznaczonym na przedstawienie jego dramatu, a teraz koło towarzyskie generałowej Hugo było weselsze, liczniejsze owiele i między widzami zapowiedzianego dramatu miała być Adela Faucher, ta, która została później małżonką i była jedyną, prawdziwą i głęboką, miłością poety, w ciągu jego całego życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Kartka z pamiętników poety, II. — Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dalszy ciąg), przez Quis'a. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Dalszy ciąg Książki pamiętek, N. Żmichowskiej (dok). — Zima w Fu-Czeu (w Chinach), szkic geograficzny, przez panią L. P. — Z życia Wiktora Hugo, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 25 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Kołnierzyk chusteczkowy z jedwabnej gazy i koronki.

Rycina Nr 1.

Na kołnierzyk zrobić 79 cent. długi, a 2 i pół cent. szeroki pasek ze sztywnego tiulu, pokryć go kremową wstążką „ottoman“, przymocowując jednocześnie 16 centim. długi uplisowany kołnierzyk, zrobiony z dwóch końców kremowej koronki, 110 cent. długiej, zeszytej tak, aby formowała dwa rogi. Następnie trzeba ukrajać dwa 33 cent. długie, a 24 centim. szerokie skośne kawałki jedwabnej gazy, przyszyć je do sztywnego paska, oszyć boczny i dolny brzeg 11 centim. szeroką koronką, naddając jej na rogach, o ile potrzeba i wyłożyć podług ryciny; z takiejże koronki zrobić jeszcze dwa podobne ranwersy, 13 cent. długie i przyszyć je do uplisowanej gazy. Pukle i końce ze wstążki „ottoman“, 6 cent. szerokiej, dopełniają kołnierza.

Suknia z dyagonalu i wełnianego materiału w kraty.

Rycina Nr 2, 3 i 20.

Przód i boki spódnicy pokryte 83 cent. długim, a 342 centim. szerokim wolantem z granatowego dyagonalu, który w odstępach 33 cent. ułożony w kilka płaskich fałd; tiunika udrapowana podług



Nr 1. Kołnierzyk chusteczkowy z koronki i jedwabnej gazy.

Nr 2. Suknia z dyagonalu i wełnianego materiału w kratę. (Do ryc. 3 i 20).

ryciny, z prawej strony podszyta materiałem w kratę i wyłożona na wierzch; podobnyż ranwers ozdabia z prawej strony tylny równy bryt, puszczone luźno tylko zmarszczony u góry. Stanik z dyagonalu z kamizelką i ranwersami u rękawów z materiału w kratkę; z tejże materii zrobiona suta kokarda, przypięta z tyłu do ściętego w bawet karczka.

Suknia z etaminy gładkiej i w deseń.

Rycina Nr 4 i 7.

Spódnica z podszewki oszyta u dołu 11 cent. szeroką, ułożoną w podwójne kontrafałdy falbanką z żółtawej etaminy, a oprócz tego z przodu i na bokach uplisowaną falbanką takiejże szerokości, oszytą 7 cent. szeroką koronką. Oprócz tego przód pokryty gładką etaminą ułożoną w fałdy, skierowane przeciw sobie, naszyte kilka razy koronką; boki przybrane upięciem „à panier“: z tyłu 284 cent. szeroki równy bryt, podobnież z gładkiej etaminy; ułożony w głębokie płaskie fałdy, oszyty koronką, a przez środek przybrany koronką naszytą wężykowato. Stanik z etaminy w deseń, krótki, ścięty w bawet, z koronkową kamizelką; z tyłu do karczka stanika przyszyte dwa 60 cent. szerokie, a 96 cent. długie końce, zmarszczone u góry, z etaminy w deseń na jedwa-



Nr 3. Suknia z dyagonalu i wełnianego materiału w kratę. (Do ryc. 2 i 20).

Nr 4. Suknia z etaminy gładkiej i w deseń. (Do ryc. 7). Przód.

Nr 5. Suknia z surowej jedwabnej materii.

Nr 6. Suknia z kaszmiru.

Nr 7. Suknia z etaminy gładkiej i w deseń. Plecy. (Do ryc. 4).

nej podszewce kremowego koloru; żeby zaś te szarfy przy noszeniu nie odlatyły od sukni, przypina się je do tejsze na guzik nie widocznie.

Suknia z surowej jedwabnej materji.

Rycina Nr 5.

Spódnica objęta u dołu 6 cent. szeroką plisą z brązowego aksamitu i pokryta drugą spódnicą „paysanne“, mającą 334 cent. szerokości. Długości spódnicy przypuszcza się na zakładki, których robi się po 3 w trzech miejscach. Pod każdą ostatnią zakładkę podszywa się haftowany

kremowy szlak, 18 cent. szeroki, a górny brzeg spódnicy marszczy się kilka razy, przyszywa do paska pierwszej spódnicy. Krótki, z przodu fałdowany staniczek, z kamizelką, ranwersami i kołnierzykiem z brązowego aksamitu, przybrany podług ryciny haftowanym szlakiem.

Serweta na stół bufetowy krzyżowym haftem.

Rycina Nr 8.

Serweta z złotawego płótna, podwębiona na 3 cent. szeroko, przybrana ażurowym szlaczkiem, 4 i pół cent. szerokim, na który trzeba wyciągać z płótna po 4 nitki, a po 4 zostawiać, obhaftować brzegi płótna ścięciem langietkowym, a ażurowe kwadraciki pasową bawełną, ścięciem point-d'esprit. Nad ażurowym szlakiem haftuje się drugi szlak, podług ryc. 9 ścięciem krzyżowym, różno-kolorową bawełną; węższy szlak obejmuje całą serwetę w okół, a szerszy tylko dwie strony; klockowa koronka przszyta kolorową bawełną dopełnia serwety.

Zahaftowanie figur deseniowych.

Rycina Nr 15 do 18.

Robi się to zahaftowanie na płótnie średniej grubości, którego nitki dają się z łatwością policzyć,

kordonkowym jedwabiem w dwóch kolorach, jak następuje:

Zahaftowanie ryciny 15 składa się z nitek pasowego jedwabiu, przymocowanych krzyżykami z oliwkowego jedwabiu i małych płasko haftowanych gwiazdek. Na zrobienie go trzeba przeciągnąć 4 nitki jedwabiu, w odstepie 1 nitki płótna od siebie, opuścić 12 nitek płótna, a jedwab przymocować krzyżykami, robionymi na 4 nitkach. Gwiazdki haftują się podług ryciny płaskim haftem, na 8 nitkach płótna, w środku jeden supełek z oliwkowego jedwabiu.

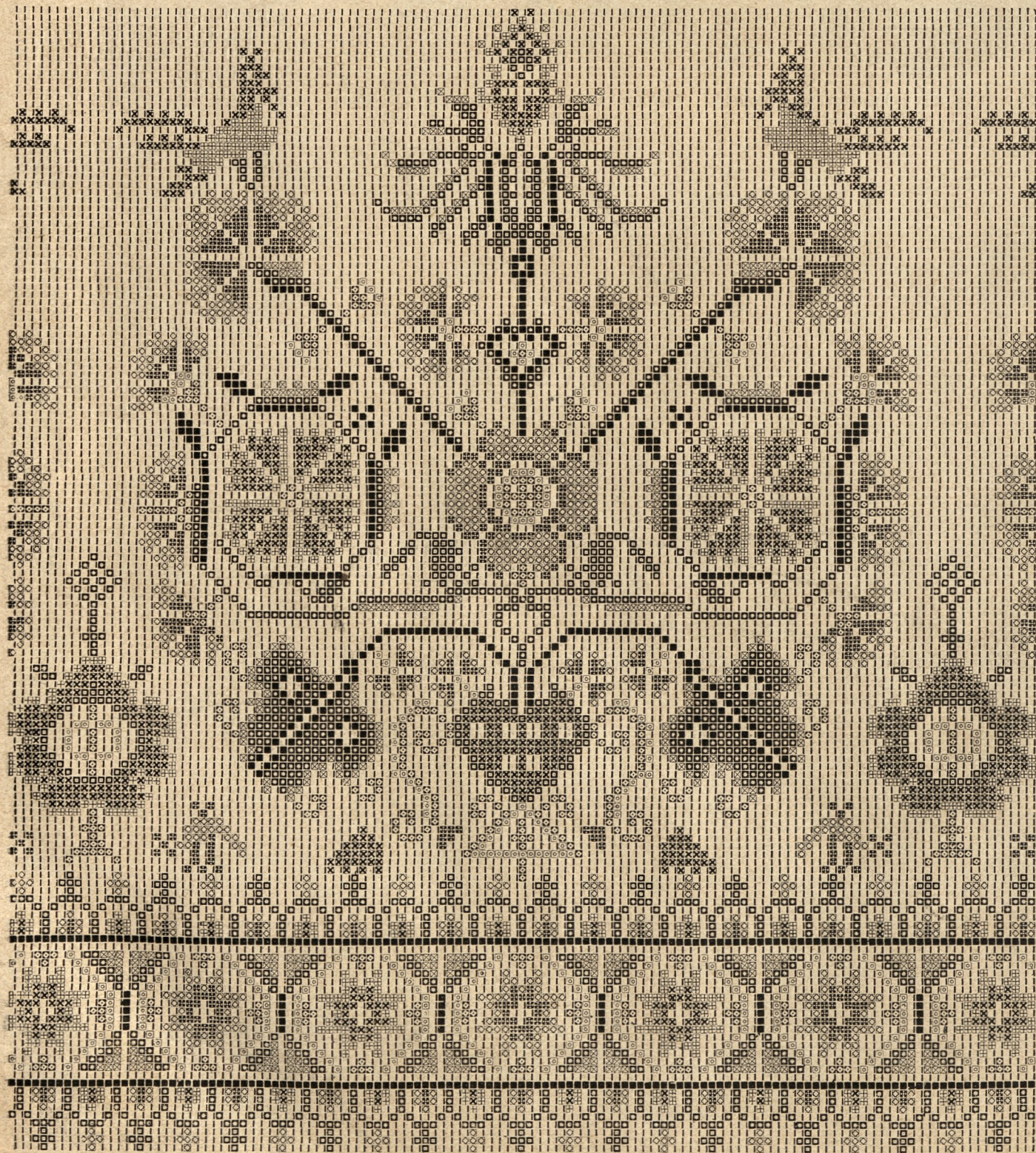
Na zrobienie haftu ryciny 16 trzeba przeciągnąć po 5 nitek błękitnego jedwabiu, w odstepie 1 nitki płótna, potem odstąpić 9 nitek płótna znowu 5 nitek jedwabiu i t. d.; toż samo zrobić w przeciwnym poziomym kierunku. Następnie przymocować jedwab' ścięciem cerowanym w skośnym kierunku, a miejsca w których się łączy ścięciem smyrneńskim, jedwabiem jaśniejszego koloru.

Deseniowe figury ryciny 17 haftują się na 18 nitkach, ścięciem płaskim, jedwabiem ciemno-brązowym, w odstepie 1 nitki płótna; dalej opuszcza się 8 nitek płótna i haftuje drugą figurkę; drugi rząd robi się w odstepie także 8 nitek. Pomiędzy kwadracikami haftuje się ścięciem długim, złotym jedwabiem, przymocowując krzyżujące się nitki złotymi nićmi.

Na zrobienie haftu ryciny 18, trzeba przeciągnąć 5 nitek pasowego jedwabiu, opuszczając 4 nitki płótna i t. d., na tem już w przeciwnym poziomym kierunku, przeciągnąć po 1 nitce błękitnego jedwabiu, w odstepie 6 nitek płótna i przymocować błękitny jedwab' poprzecznymi ścięgami, złotymi nićmi.



Nr 8. Serwetka na stół bufetowy. (Do ryc. 9).



Objaśnienie znaków: ■ pierw. (najc.), □ drugi, ⊠ trzeci, (najjaśn.) oliwkowo-zielony, ◻ pierw. (najc.), * drugi, ⊞ trzeci, (najjaśn.) pasowy, ◻ ciemno-brązowy, ⊞ jasno-brązowy, ⊞ ciemno-niebieski, ◻ jasno-niebieski, ' tło.

Nr 9. Wzór na haft ryc 8 krzyżową robotą.

Suknia z wełnianego materiału w kratkę.

Rycina Nr 21.

Spódnica objęta u dołu 10 centimetrów szeroką uplisowaną falbanką i cała pokryta 340 centim. szeroką drugą spódnicą, suto namarszczoną, z wełnianego materiału w kratkę niebieską i białą; spódniczka u dołu przybrana zakładkami, oraz naszyta trzy razy niebieską aksamitką. Kaftanik do sukni luźny z przodu, z ufalowaną kamizelką. Szeroki pasek i z tyłu szarta z niebieskiego atlasu, dopełniają przybrania sukni.

Suknia z gładkiej i w deseń woaliny.

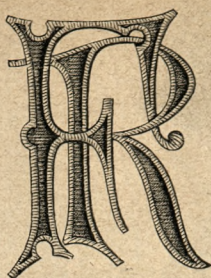
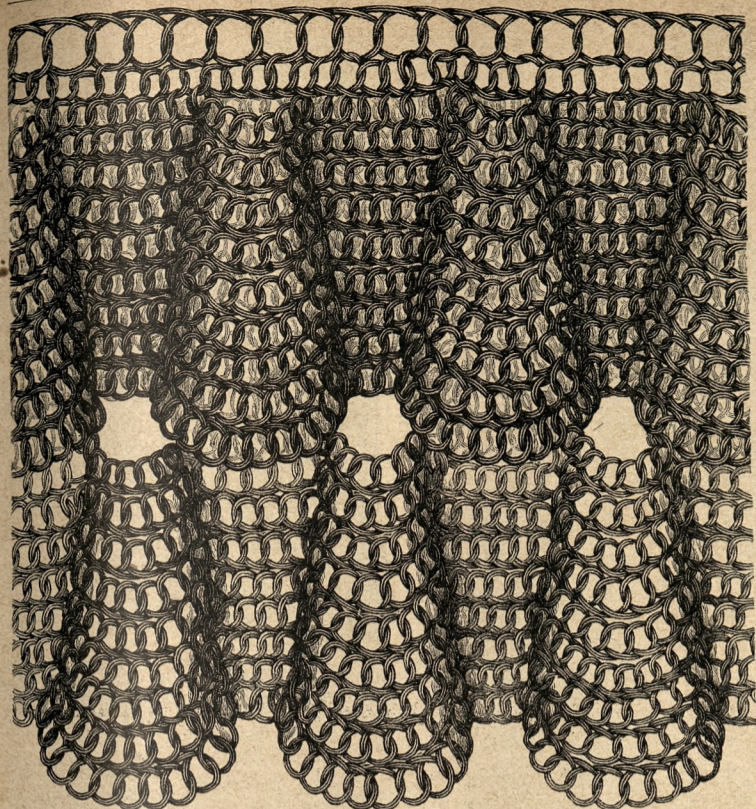
Rycina Nr 22

Przedni i boczne bryty spódnicy pokryte woalem w deseń namarszczonym z przodu, a na bokach ułożonym w drobne fałdy; z tyłu równe bryty z gładkiego woalu, ułożone w głębokie kontrafałdy. Stanik krótki bez karoczka z woalu w deseń, z napiersnikiem ufalowanym skosnie; na to króciutki, z przodu luźny kaftaniczek z gładkiego woalu.

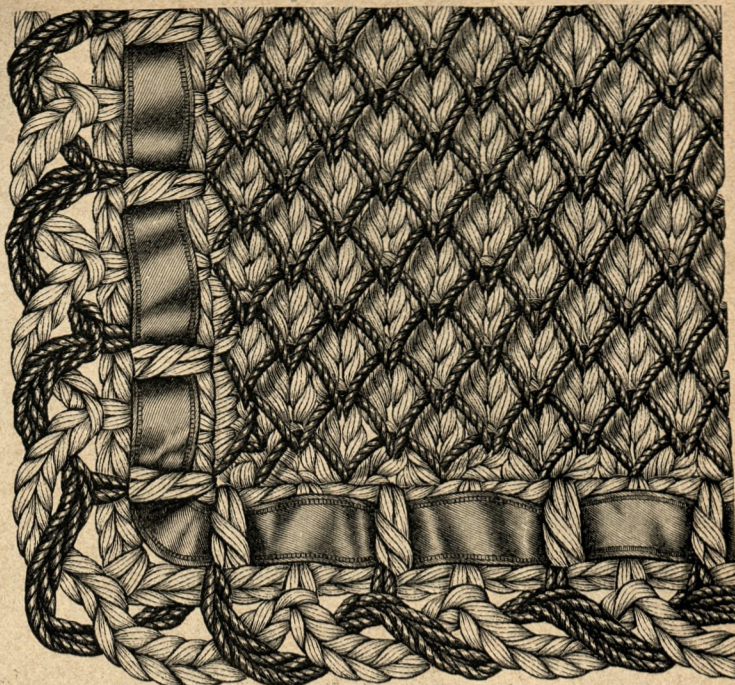
Suknia z alpagi.

Rycina Nr 24.

Spódnica oszyta u dołu uplisowaną falbanką, a cała pokryta drugą tiuniką, której przedni bryt trochę namarszczony na samym przodzie, a na bokach udrapowany podług ryciny; tylny zaś ułożony w głębokie, gładko spadające ku dołowi fałdy, przypięte u góry na karoczku stanika. Stanik długi z ufalowanym napiersnikiem, przybrany koronką, ranwersami i kołnierzykiem z aksamitu; w pasie spięty agrafką.



Nr 10. Znak do bielizny.



Nr 13. Część kołdry na kołyskę robotą szydełkową i drutową. Zmniejszony.

Nr 11. Część pelerynki ryc. 12 szydełkową robotą.

Przepisy gospodarskie.

Grzanki z syropem ananasowym lub melonowym.

Bułkę białą, dużą, montową, pokrajać w plasterki, a skrawając ostrym nożem skórę, formować małe trójkątne grzanki. Usmażyć je na patelni, na klarownem koniecznie maśle, przy wolnym ogniu — nie można pod blachą, bo stwardnieją i uschną zbyt znacznie. Usmażone ułożyć na okrągłym półmisku w okrąg ponakładać po klasterku ananasa, lub białych ananasowych truskawek, przykryć. każdy drugą grzanką i postawić na ciepłym trzonie. Podając wlać w środek między grzanki sos następujący: pół łyżki młodego masła zagotować, w gotujące wsypać pół łyżeczki kartoflanej mąki, rozprowadzić do właściwej gęstości syropem ananasowym lub truskawkowym białym, wymieszanym z kieliszkiem dobrego araku i ciepłe podać na stół. W braku ananasa można go zastąpić melonem; zrobiwszy gęsty syrop, wrzucić trochę pokrajanego ananasowego melonu, gotować z pół



Nr 12 Pelerynka robotą szydełkową. (Do ryc. 11).

godziny, aby cały aromat wyszedł, a następnie użyć do sosu.

Znowu kluski francuzkie.

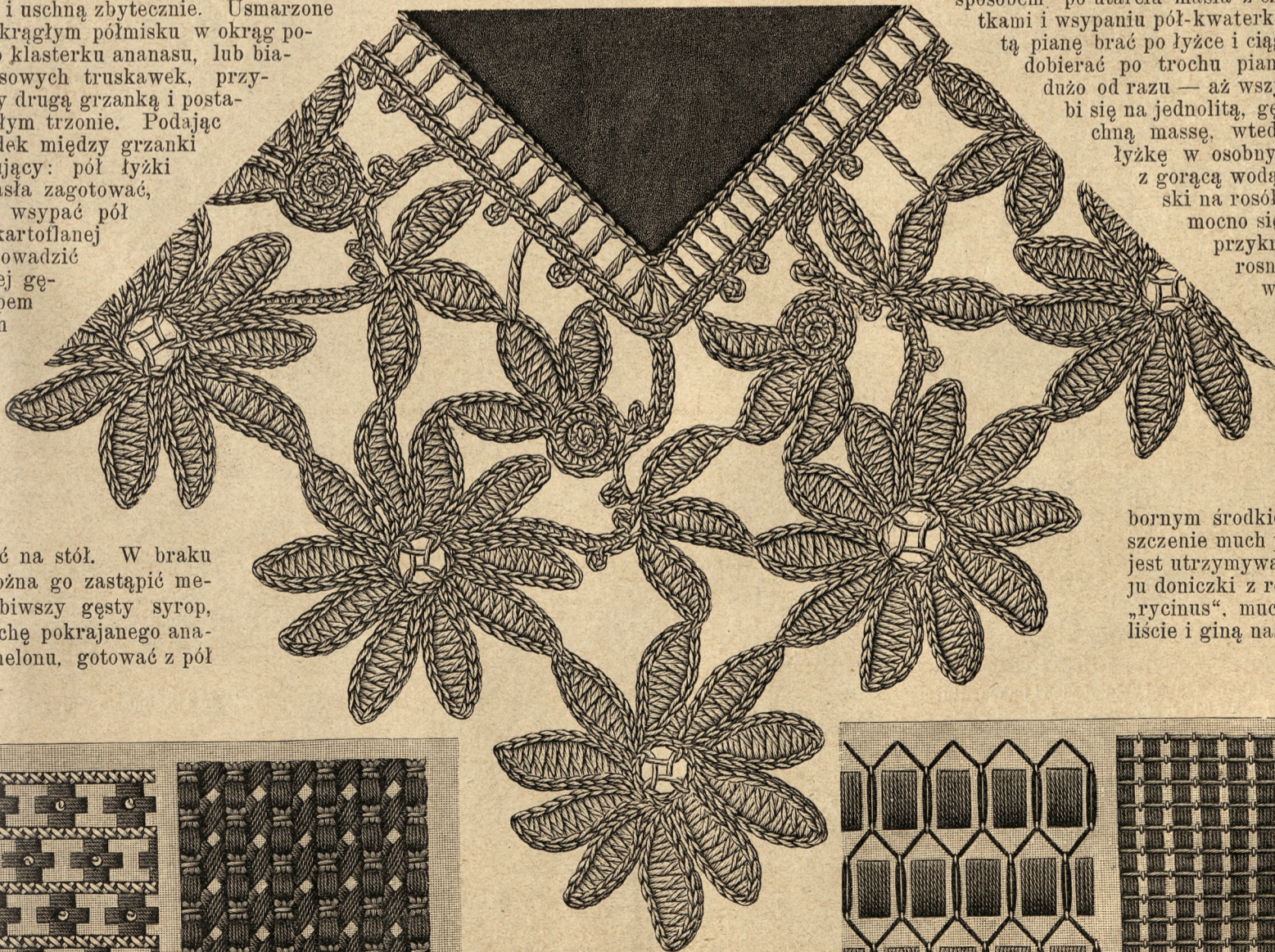
Dla czego najczęściej kluski francuzkie, jeżeli do nich nie zajrzy sama pani, są twarde? Dla tego, że kucharki biorą za dużo mąki, a następnie do twardo utartego ciasta od razu kładą wszystką pianę, która wodnieje, a kluski są zawsze złe.

Otóż pomimo różnych sposobów podanych przezemnie na kluski francuzkie, z których bez piany, są podług mnie najlepsze — gdyż można je rano zrobić (patrz książkę pod tytułem „365 Obiadów“. Wydanie 13); robiąc zwyczajnym sposobem, po utarciu masła z czterema żółtkami i wsypaniu pół-kwarterki mąki, ubitą pianę brać po łyżce i ciągle wierząc, dobrać po trochu pianę — nigdy dużo od razu — aż wszystko wyrobi się na jednolitą, gęstą, pulchną masę, wtedy maczając łyżkę w osobnym garneczku z gorącą wodą, kłaść kluski na rosół, nie nazbyt mocno się gotujący — przykryć, dać podrosnąć i gotować nie na małym ogniu.

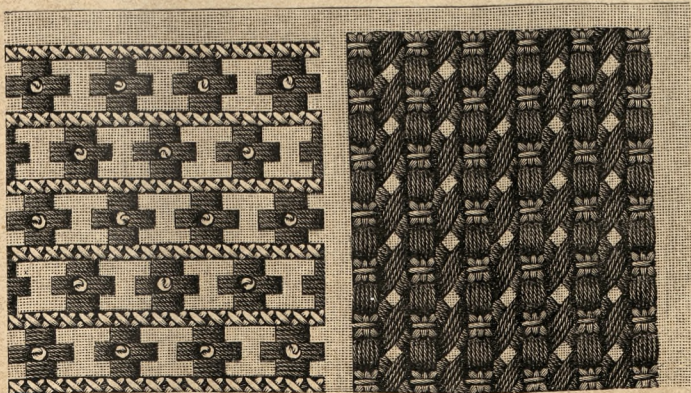
Doświadczenia gospodarskie.

Wybornym środkiem na wyniszczenie much podczas lata, jest utrzymywanie w pokoju doniczki z rośliną zwaną „rycinus“, muchy obsiadają liście i giną następnie.

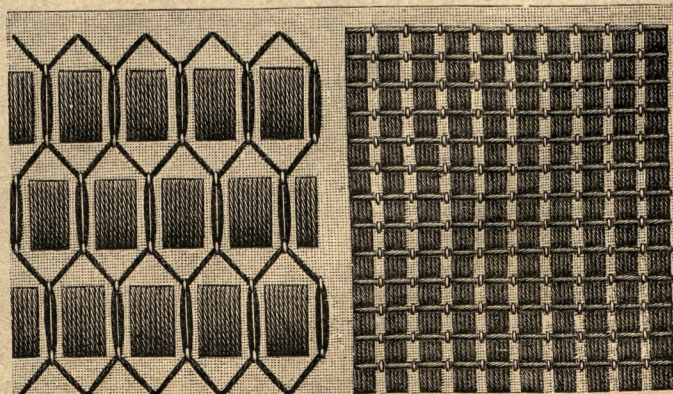
L. C.



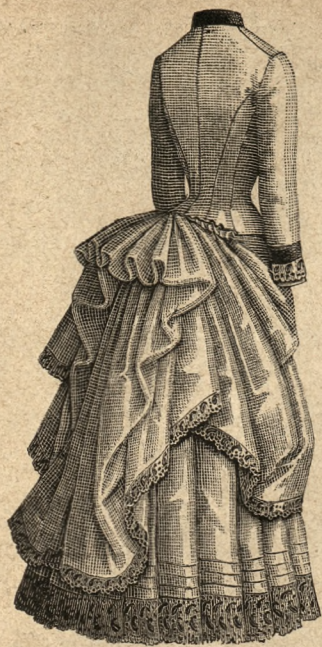
Nr 14. Róg serwety szydełkową robotą. Wielkość naturalna.



Nr 15 i 16. Zahaftowanie figur deseniowych.



Nr 17 i 18. Zahaftowanie figur deseniowych.



Nr 19. Suknia z etaminy. Plecy
(Do ryc 25).



Nr 21. Suknia z wełnianego
materiału w kratkę.

Nr 22. Suknia z woaliny
gładkiej i w deseń.



Nr 20. Suknia z dyagonalu i wełnianego
materiału w kratę. (Do r. 2 i 3)



Nr 23. Suknia z materiału „Loden“ i aksamitu.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr I, fig. 1—5.



Nr 25. Suknia z etamity. Przód. (Do ryc. 19).
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 30 — 39.



Nr 24. Suknia z alpagi.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z makaronem.
2. Sztukamięsa biała z ogórkami kwaszonymi.
3. Kurczęta w kompotem z moreli.
4. Pierogi z czarnymi jagodami na gorąco, z kwaśną śmietaną.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 29 Bluszczu.